ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 5(42) • Maj 2009 • Cena 2,00 zł

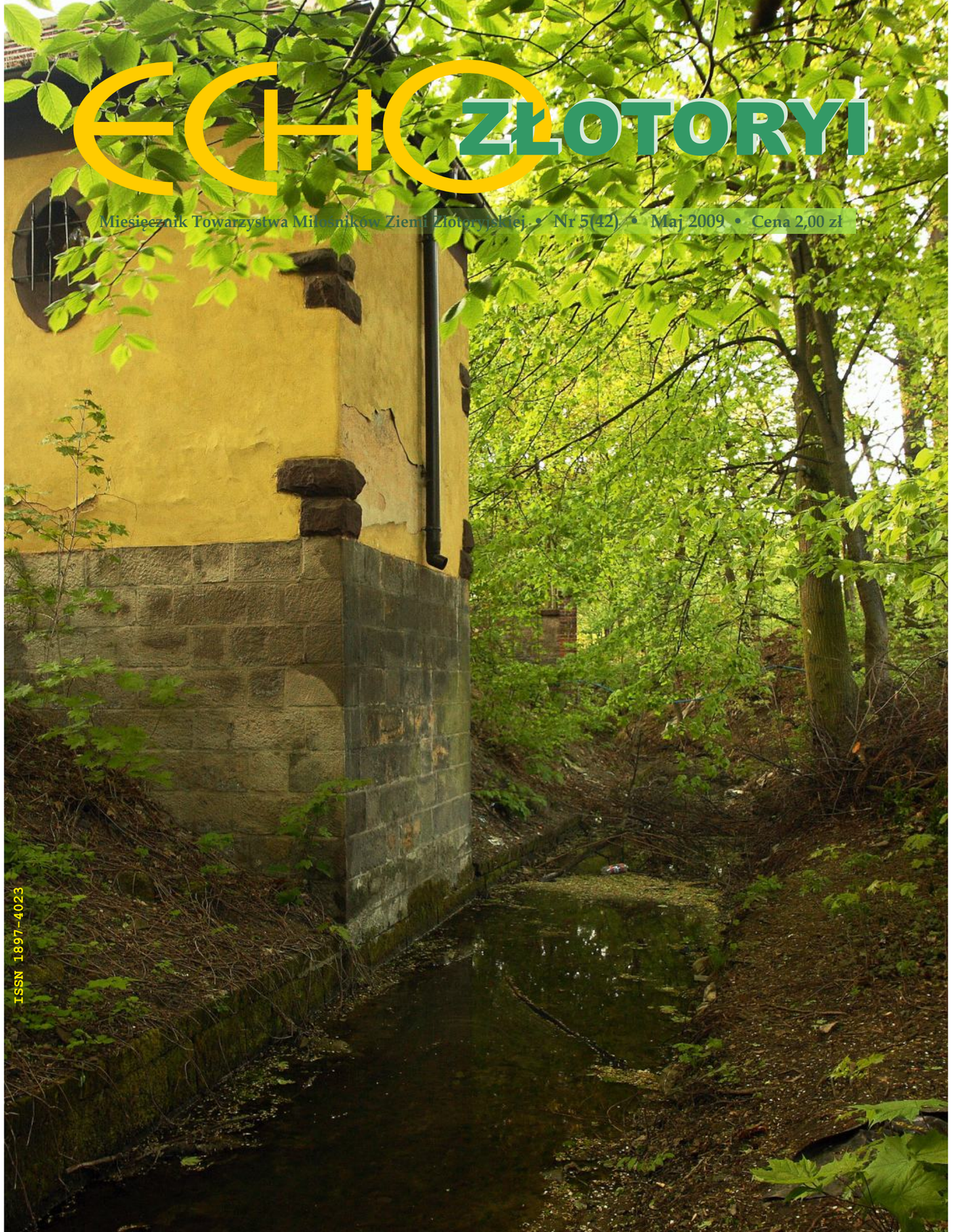

ISSN 1897-4023

foto.tmzz.pl

Zdecydowana większość tworzonych organizacji ma przed sobą niezbyt długi żywot. Nawet, gdy początkowo uczestnicy są pełni zapału, z czasem więzi słabną i rozpadają się. Ludzie często nie wiedzą o tym lub nie zdają sobie sprawy, i może dlatego… niektórym organizacjom udaje się trwać, przetrwać i rozwijać się. Czas pokaże, jak będzie ze Złotoryjskim Klubem Fotograficznym, który powstał niespełna dwa miesiące temu. Powołany za sprawą paru zapaleńców, pod ochronnym parasolem Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, stawia pierwsze kroki. Założenia są optymistyczne - plany rozległe, a chęci wielkie.

Jedni się jeszcze uczą, drudzy pracują, a jeszcze inni korzystają z uroków emerytury. Wszyscy jednak mają swój określony sposób patrzenia na otaczający świat i pomimo tego, że te same rzeczy mogą postrzegać zupełnie inaczej, łączy ich zamiłowanie do malowania światłem, czyli fotografia. I nie jest ważne, czy są na początku, czy też pośrodku drogi poznawania tajników ekspozycji, kompozycji, światła i cienia.

Pierwszym wyzwaniem, podjętym może nazbyt pochopnie, było zorganizowanie w przeciągu pięciu tygodni wystawy pod tytułem „Złotoryjskie zaułki". Czasem człowiek zanim dobrze pomyśli, wyrwie się z czymś przed szereg. Wydawało się: tak dużo czasu, tyle tematów. Brać i przebierać. Zapewne pamiętamy ze szkoły to uczucie, gdy mieliśmy napisać wypracowanie i nagle łatwe i oczywiste rzeczy nijak nie chcą ułożyć się w zrozumiałe zdania. Co innego wybrać się rankiem czy wieczorem w poszukiwaniu tematu fotograficznego, gdy nikt nic nie narzuca, a co innego zmierzyć się z zadanym tematem. W głowie gromadzą się wymarzone obrazy, gotowe kadry, podczas gdy na miejscu okazuje się, że słońce świeci nie z tej strony co trzeba, niebo jest jakieś takie nieciekawe, przed obiektywem stoi jakiś słup, albo akurat zaparkowała ciężarówka i wszystko zasłoniła. Mówimy sobie w duchu, że przyjdziemy tu następnym razem, ale w dni nadchodzące albo nie mamy czasu, albo natchnienia. I tak mija czas, a termin wystawy się zbliża.

Ze 150 zdjęć, które zostały przygotowane pod wystawę, wybraliśmy około 50. Dużo i mało. Dużo, ponieważ, przekracza to już możliwości percepcji potencjalnego oglądacza, mało, zważywszy na to, ile ciekawych miejsc jest w naszym mieście. Zdajemy sobie sprawę, że wiele z naszych zdjęć dalekich jest od doskonałości, ale najważniejszy zawsze jest pierwszy krok – później nogi same już niosą.

Z pewną taką nieśmiałością pragnę zaprosić wszystkich miłośników fotografii oraz naszego miasta na wystawę poświęconą miejscom znanym i nieznanym. Otwarcie wystawy odbędzie się 22 maja o godz. 17.00 w Towarzystwie Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, przy ul. Szkolnej 1 (Doma Nauczyciela „Bacalarus"). Podczas otwarcia chcielibyśmy rozstrzygnąć między innym konkurs na najlepszą okładkę „Echa Złotoryi" w latach 2006-2008. Przewidujemy także wybór najlepszego zdjęcia wystawy, a także losowanie wśród przybyłych wielu atrakcyjnych nagród. Liczymy na Państwa życzliwą ocenę naszych dokonań, chętnie wysłuchamy inspirujących komentarzy i rad.
Wystawę będzie można oglądać do końca czerwca.

W imieniu członków
Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego

Robert Pawłowski

Kreska z muzyką w tle

Słońce świeciło złotą kulą, rzucając wiosenne promienie na szczyty górskie, delikatnie muskając balkony budynków. Bloki, wkomponowane w piękną górską przyrodę, mieszkańcom stwarzały niepowtarzalny obraz. Słysząc „mój kochany Wojcieszów" domyślałam się, co znaczą te słowa. Widok z mieszkania naszego bohatera jest przedni, odcienie zieleni mieszają się ze szczytami gór. Ta sceneria wpływa relaksacyjnie i pobudzająco na wyobraźnię. Niejedna grafika powstała w takich okolicznościach, gra światła dziennego, różnorodność barw podpowiadały sposób wykonania rysunku.

Podgórki to sąsiednia miejscowość i ,jak sama nazwa wskazuje, z urozmaiconym terenem. Poniemieckie budowle zachwycały rysowników, a przyroda- to cała poezja, w niej majestatyczne drzewa, pałac, w tle folwark lub odwrotnie. Mieszkając w Podgórkach pan Romuald Napiórkowski rysował wiele grafik. Natomiast Wojcieszów odkrywa wiele wspaniałości: lasy, jaskinie, góry. Nie dziwi mnie, że miasteczko było chętnie zamieszkiwane, rzeźba terenu robiła swoje. W XIX i XX wieku Niemcy budowali tu pałace, było ich pięć. Jeden piękniejszy od drugiego. Ich architektura, wkomponowana w park oraz bliskość gór tworzyły niebanalne połączenie. W ich sąsiedztwie znajdowały się stadniny koni. W okresie komunistycznym pałace zaadoptowano na Państwowy Dom Dziecka, Specjalny Ośrodek Szkolno Wychowawczy, szkołę , przedszkole, ośrodek wypoczynkowy. Opuszczony przez wyznawców kościół poewangelicki to ciekawy obiekt do rysowani.

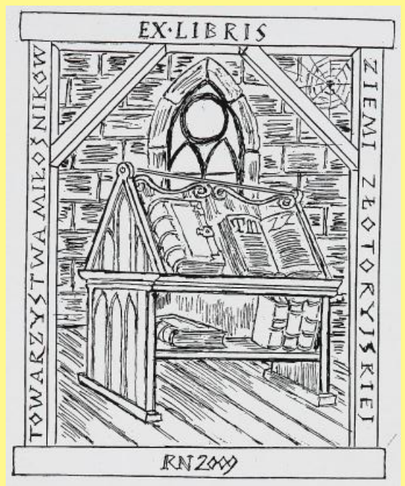

Zanim pan Romuald zamieszkał w Wojcieszowie, dużo przysłowiowej wody upłynęło w Kaczawie. Prześledźmy w skrócie jego drogę.

W okresie dzieciństwa pan Romuald z rodziną został wywieziony na Syberię w dzikie tereny, gdzie życie było swoistą walką o przetrwanie. Malowanie i naukę trzeba było odłożyć na inne czasy. Zresztą nie było papieru, ołówka. Tam rozgrywała się walka o jedzenie „ to było - być albo nie być - dla każdego zesłańca, nie wszyscy przetrwali, umarli z głodu albo z mrozu" Na Syberyjskich stepach przebywali ludzie różnych narodowości. Rosyjskie rodziny zesłańców cierpiały tak samo jak polskie rodziny, w tych ciężkich czasach wszyscy

pomagali sobie na wzajem", Aby zachować odrobinę polskości, prawie każdy uczył się piosenek, wierszy, legend wszystkiego, co dotyczyło Polski, one tkwiły w głowach naszych rodziców, dziadków. Ambasada rządu polskiego w Londynie wydawała w Kujbyszewie dwutygodnik „Polska" w latach 1941-1942. Potem ukazywała się gazeta „Wolna Polska" wydawana przez Związek Patriotów Polskich. W gazetach zawarte były bieżące wiadomości z pola walki, poezja dla dorosłych a dla dzieci drukowany był elementarz, który uczył języka polskiego, pięknej kaligrafii i matematyki. Dokładna instrukcja informowała, jak złożyć poprawnie ze sobą kartki i przestrzegała przed zniszczeniem. Egzemplarzy było niewiele, stąd te uwagi, cenne na owe czasy. Pan Napiórkowski przed wojną skończył trzy klasy szkoły powszechnej, już wtedy malował, przepisywał tekst i dorysowywał rysunek. Na Syberii chodził do szkoły rosyjskiej, lubił rysować portrety nauczycieli, za co został ukarany, tłumaczono mu, że nauczycieli mogą malować tylko osoby z dyplomem uczelni plastycznej. Skończył się tragiczny okres wojny i zsyłki, ale czy następny był

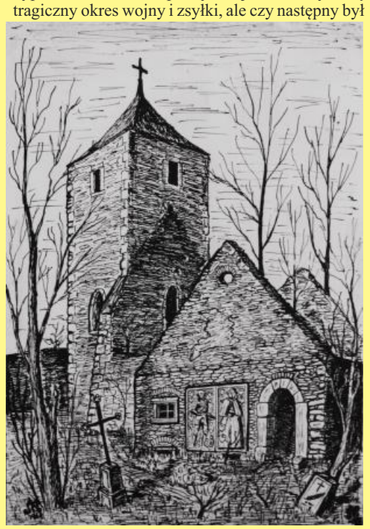

łaskawszy?.

Oddziały szkoły podstawowej ,Liceum Ogólnokształcące i Liceum Pedagogiczne ukończył w Polsce powojennej w Olecku na Mazurach. Zdał dwie matury:ogólnokształcącą i pedagogiczną. Zaraz po maturze podjął pracę. Studiował zaocznie. Ożenił się z Jadwigą, obecną żoną. Wspólnie zdecydowali się wyjechać na Dolny Śląsk, tu powstawało polskie szkolnictwo, budynki przystosowywano na szkoły, na internaty, świetlice. W Kuratorium we Wrocławiu otrzymali skierowanie do Złotoryi , inspektor Mikołaj Kołosza zatrudnił ich w Podgórkach. Po drodze zrobili niewielkie zakupy; dwie łyżki, garnek, talerze, kubki z siennikiem wypchanym słomą , weszli do wspólnego pierwszego mieszkania. Zastali cztery puste pokoje, które wymagały generalnego remontu. Byli młodzi, pełni werwy, dali sobie radę. Pan Romuald został kierownikiem Szkoły Podstawowej, którą tworzył jakby od początku z żoną przy boku. Brakowało pomocy dydaktycznych. Oboje mieli ambicje, ich lekcje musiały być ciekawe, aby uczniowie skorzystali z nich. Nie zawsze słowo mówione trafiało, ale połączenie słowa pisanego, mówionego i rysunku poszerzyło dzieciom wyobraźnię. Mieli dziewiczy grunt, pan Romuald sam tworzył plansze, rysunki, pomoce do danego tematu, a na dodatek lubił to wykonywać. Po dziewięciu latach przenieśli się do Wojcieszowa, gdzie grafiki powstawały jak grzyby po deszczu.

Twórczość Romualda Napiórkowskiego to

swoista karta historii, jego szkicownik towarzyszy mu wszędzie, skrzętnie wykorzystywał nawet czas do odjazdu autobusu. Nigdy nie marnuje czasu, problem jest raczej w wyborze obiektu, jest ich tak dużo. Niektóre rysunki kończy nawet kilka lat. Jeżdżąc lub wędrując po Polsce, po Czechach i Ameryce dokumentuje ciekawe zakątki, budowle, dopisuje do nich fraszki. Jakby nie dosyć tego, parodiuje ludzkie postacie. Jako nauczyciel uczestniczył w naradach kierowników szkół i nie trudno się domyślić, słuchał i rysował, po czym karykatury oddawał właścicielom. Życie mógłby podzielić na cztery etapy: wywózka na Syberię, powrót do Polski, praca zawodowa, emerytura. Te okresy łączy miłość do kopiowania przyrody, interesujących budowli czy wykonywania karykatur ludzkich postaci nieważne, czy to znajomych czy osób publicznych. Pan Romuald swoje grafiki cyklicznie wystawia na wystawach w różnych regionach Dolnego Śląska. Jeszcze dzisiaj można obejrzeć wystawę w Towarzystwie Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.

Pani Jadwiga Napiórkowska, żona Romualda jest bardzo gościnna, uśmiech nie opuszcza ani na chwilę jej twarzy, częstuje mnie pyszną pigwową nalewką, w której smak owocu miesza się z miodem. O swoim mężu mówi tak:

-mąż nie twierdzi, że ma talent, dla niego to zwykła umiejętność. Mężczyźni nie umieją się chwalić. Gdyby tylko rysował grafiki, nie utrzymałby rodziny. Sprzedał zaledwie trzy grafiki – uśmiecha się - więcej rozdał, nigdy nie malował dla zarobku, dla niego to czysta przyjemność. Dopóki dyrektorował, nie miał czasu. Na emeryturze rysunki go pochłonęły. Na trasie do Jeleniej Góry zawsze znajdzie obiekt: pokręcone drzewa, popsute drzwi czy okno wybite. Dla mnie to zwykłe drzewo a spod jego ręki wychodzi piękna grafika. Z ulicy, którą zamieszkujemy, wszystkie drzewa są już uwiecznione. Przy każdym mieszkaniu w naszej klatce schodowej są jego grafiki. Sąsiedzi śmieją się, że łatwiej trafić do mieszkania po grafice niż po numerze. Do kulinarnych przepisów książki kucharskiej, wydanej przez córkę, mąż dorysował rysunki. Do zupy dziadowskiej narysował po prostu dziada… Obecnie jest w trakcie rysowania grafik do książki „O Wilkołaku" autorstwa Romana Gorzkowskiego.

Pan Romuald o sobie: lubię malować i dokumentować zabytki w Wojcieszowie. Korona rodowa na budynku, elementy architektoniczne, herby, sale piwniczne, to są elementy historii, które warto utrwalić. Zabytki namalowane w latach 50. nie przypominają obecnych budowli. Kupiłem kilka książek, ale leżą na półce. Prace wykonuję w ołówku, w kredkach i w tuszu, proporcje, kąt nachylenia „mam w oku", Do techniki dochodziłem sam metodą prób i błędów- trening czyni mistrza - śmieje się pan Romuald- a potem samo wychodziło. Bywa tak, że jedną rzecz maluję kilka razy, jeśli zapomnę szczegółów, wracam na to samo miejsce i zmuszam mój umysł do zapamiętania. Wiele obrazów leży niedokończonych, nie mam do nich serca. Czasami rysuję kilka grafik jednego obiektu, poprawiam je kilkakrotnie i nie wyrzucam żadnej. Mam ich pokaźny zbiór.

Gdyby grafiki pana Romualda ułożyć na mapie Dolnego Śląska, poznalibyśmy wiele miejsc, których już nie ma lub które nadgryzł ząb czasu. Uległy zniszczeniu lub całkowitemu przeobrażeniu. Grafik jest ok. 300 a ile ich zostało rozdanych, niestety nikt nie wie.

Wiele talentów drzemie w człowieku, wcześniej czy później ujawniają się. Mandolina to instrument, który dawno już został opanowany przez pana Romualda, jej dźwięki umiliły niejedną uroczystość rodzinną i towarzyską.

Pan Romuald stwierdza z nutką smutku w głosie, że wiek ma swoje prawa, oczy odmawiają posłuszeństwa, ale żona Jadwiga czuwa nad grafikami. Ten postawny pan emanuje dobrocią, spokojem, cierpliwością i chyba nie przesadzę, jeśli dodam, że jego talent to nie tylko umiejętność, ale sposób na zabicie czasu na emeryturze.

Jana Kaluża

Romuald Napiórkowski na otwarciu wystawy swoich grafik w siedzibie TMZZ

ECHO ZŁOTORYI **Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej**

Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Elżbieta Łukjańczuk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).

Zdjęcie na okładce: Budynek starej kapliczki na zapleczu Sanepidu, przy ul. Staszica - fot. Robert Pawłowski.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania oraz przeredagowywania nadesłanych tekstów.
Miesięcznik tworzony jest nakładem pracy społecznej, w związku z tym za publikacje nie jest wypłacane wynagrodzenie w jakiejkolwiek formie.

Warunki prenumeraty. Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym momencie, nadsyłając zamówienie na adres poczty internetowej redakcji oraz przesyłając na konto TMZZ (39 8658 0009 0000 0156 2000 0010) kwotę pieniędzy w wysokości odpowiadającej liczbie oraz sposobowi dostarczenia zamówionych egzemplarzy:
I - prenumerata miejscowa (odbiór w siedzibie TMZZ) w cenie numeru , II - prenumerata wysyłkowa na terenie Polski - 4,50 zł, III - prenumerata wysyłkowa zagraniczna - 10 zł.

Tatuaż jest jak chipsy

fot. Ryszard Masłowski

Black Rain to studio tatuażu, które funkcjonuje od kilku miesięcy w Złotoryi. Studio zajmuje niewielki lokal przy ulicy Solnej. Pomieszczenia Black Rain to mikroskopijna poczekalnia, w której centralne miejsce zajmuje stolik z pokaźnym katalogiem wzorów tatuaży, dalej jest biuro (również w wersji mini), a obok gabinet, który z racji stojącej tam kozetki jednoznacznie kojarzy mi się z zabiegami. I słusznie! Na kozetce leży młody mężczyzna a nad nim pochyla się tatuator Adam. Urządzeniem, które przypomina długopis z silniczkiem zakreśla kształt pokaźnego pająka. Taki rysunek zażyczył sobie klient. Ręka, na której odbywa się cała operacja, jest zaczerwieniona. Podczas zabiegu pigment wprowadza się między skórę właściwą a złuszczającą się. Mam wrażenie, że to boli. Okazuje się, że nie, jedynie trochę szczypie i piecze. Nie ma nawet potrzeby podawania jakiegokolwiek znieczulenia. Po kilkunastu minutach dyskomfort znika. *Doznania podczas tatuowania można porównać do tych podczas depilacji. Czasem depilacja bardziej boli* – uspokaja Adam.

Zanim na ramieniu mężczyzny pojawi się efekt końcowy, najpierw trzeba odbić we właściwym miejscu wzór, który wybrał klient. Potem zaczernia się kontury, i właśnie tej czynności jestem świadkiem. Nowy tatuaż ma, w intencji zamawiającego, przykryć istniejący już od dawna amatorski rysunek podskórny. Faktycznie, to co teraz widnieje na jego ramieniu, moim skromnym zdaniem, nie ma wartości ani artystycznej, ani estetycznej.

Nanoszenie tatuażu może trwać kilka minut, ale również kilka tygodni (oczywiście z przerwami). Czas tatuowania uzależniony jest nie tylko od rozmiarów rysunku, ale też miejsca jego nakładania czy kolorystyki. Nad pokaźnych rozmiarów pająkiem tatuator pomęczy się około godziny. Po wytatuowaniu ramienia klient powinien nakładać na podrażnione miejsce specjalny krem i przemywać je ciepłą wodą z mydłem. W żadnym wypadku nie należy świeżego tatuażu wystawiać na słońce. Dlatego najlepszą porą na wykonywanie zbiegu jest zima, kiedy z racji temperatury jesteśmy szczelnie okryci.

Wśród wzorów tatuaży obecnie największą popularnością cieszą się gwiazdki. Zamawiają je młode dziewczyny, aby w ten sposób upodobnić się do Rihanny. Adam mówi, że wykonywał już te gwiazdki w różnych miejscach na ciele, nawet tak dziwnych, jak ucho.

Zastanawia mnie, co się stanie, kiedy dumny właściciel tatuażu po pewnym czasie będzie już z niego mniej dumny. *Tak się zdarza* – mówi Adam - *Dlatego zwykle swoim klientom doradzam, aby wzięli sobie wzór rysunku, powiesili go nad łóżkiem, codziennie się w niego wpatrywali, a kiedy uznają, że ich ten rysunek nie znudził, dopiero wtedyniech przyjdą na zabieg. To zmniejsza ryzyko skutków nieprzemyślanej decyzji. Często też odradzam klientom tatuowanie dowodów miłości, szczególnie, kiedy przychodzi do mnie młody człowiek, który pewnie jeszcze niejedną dziewczynę pokocha.* Usunięcie tatuażu jest procesem długotrwałym i kosztownym. Wywabienie 10 centymetrów rysunku kosztuje koło 100 złotych. Na jednej sesji nie da się tego zrobić, ale na 10 już tak. Nie ma znaczenia rozmiar tatuażu ale raczej jego głębokość i kolor. Trudniej usunąć tatuaż cieniowany i wielobarwny.

80% klientek Black Rain to dziewczyny i kobiety. Przychodzą nawet czternastolatki. Oczywiście jeśli klient jest niepełnoletni, musi pojawić się w studiu tatuażu razem z rodzicem, który na zabieg wyraził zgodę. Górna granica wieku klientek Black Rain nie jest ograniczona. Zdarzają się, i to dość często, czterdziestokilkulatki. Tatuaż jest świetnym rozwiązaniem dla kobiet, które mają jakieś defekty na ciele. Rysunek może je zakryć albo po prostu odwrócić uwagę. Można wyszczuplić sobie nogi, dobierając odpowiedni wzorek. *Tatuaż robią sobie ludzie w każdym wieku. Niedawno był u nas pięćdziesięcioszcześioletni mężczyzna. Niestety, u nas ciągle jeszcze jest zbyt słaba tolerancja dla wytatuowanych osób. Pokutuje stereotyp, że taki typ ozdoby ciała jest charakterystyczny dla kryminalistów. Kto ma tatuaż, ten siedział. Na Zachodzie od dawna jest to rodzaj sztuki, tak jak inni malują na papierze czy płótnie, my malujemy na skórze* – wyjaśnia tatuator.

Adam uczył się wykonywać tatuaże na sobie. Zaczął to robić w wieku trzynastu lat. Pierwsze tatuaże to była typowa amatorszczyzna. Nie miał oczywiście takiego sprzętu jak dzisiaj, więc wspomagał się zwykłą igłą do szycia, którą maczał w atramencie. Potem była wyższa szkoła jazdy, aczkolwiek ciągle manufaktura, czyli długopis, silniczek od walkmana oraz struna. Tak skonstruował pierwszy aparat do tatuowania. Wtedy w Polsce jeszcze nie można było kupić fachowego sprzętu. Pierwszą profesjonalną maszynkę Adam kupił we Francji. Dziś już nie uprawia amatorszczyzny. Maszynki w Polsce są dostępne bez problemu. Ile kosztują? To zależy. Można kupić nawet za 200 złotych, ale długo się na niej nie pomaluje. Są też takie za tysiąc lub dziesięć tysięcy. Do maszynki musi być zasilacz. I oczywiście igły. Do jednego tatuażu używa się różnych igieł. Inną robi się zarys malunku, a jeszcze inną wypełnienie lub cieniowanie. Najwięcej igieł zużywa się przy kolorowym tatuażu.

Cena tatuażu uzależniona jest od wielu czynników. Jednym z najbardziej znaczących jest umiejscowienie rysunku. Te w trudno dostępnych miejscach kosztują więcej. Można sobie wyobrazić, ile musi nagimnastykować się tatuażysta (i klient), aby pomalować zagłębienia naszego ciała. Malowany w mojej obecności trójwymiarowy pająk kosztować będzie 250 złotych. W tym przypadku decydującym czynnikiem wpływającym na cenę jest wielkość rysunku i jego cieniowanie.

Tatuaż jest jak chipsy – mówi Adam – *jak sięgniesz po jeden, nie możesz skończyć*. Wie, co mówi, sam ma tak wiele tatuaży, że nie umie ich policzyć, w sumie zlały się w wielką kompozycję. Te nieudane przykrywał coraz ładniejszymi. Tatuator twierdzi, że pięć lat to niezbędny czas, aby dojść do wprawy. Pięć lat psucia sobie skóry. Sobie…lub innym. Adam zapewnia mnie, że chętnych do eksperymentów na własnej skórze jest naprawdę wielu i przyszli tatuażyści mają na kim ćwiczyć. Tym bardziej, że amatorzy nie inkasują od klientów tyle, co profesjonaliści. Adam w taki właśnie sposób, zanim został fachowcem z certyfikatem, wyrabiał sobie markę i zdobywał klientelę. Znajomi, widząc jego ozdoby, zgłaszali się, aby ich też pomalował. Jedną z najwierniejszych klientek Adama jest jego żona. Kiedy się poznali, zrobił jej pierwszy rysunek, teraz ma ich dziesięć. Gdzie? Lędźwie, łydki, stopa, łopatki, poniżej kręgosłupa. I nie koniec na tym.

A co stanie się z tatuażem, kiedy skóra straci jędrność, kiedy przybędzie ciału lat? Tatuaż jest świetnym rozwiązaniem dla kobiet, które mają jakieś defekty na ciele. Rysunek może je zakryć albo po prostu odwrócić uwagę.

Nanoszenie nowego tatuażu na wcześniejszy - fot. archiwum zakładu

Właścicielką Black Rain jest Anna Ejzler. Jest to jej debiut w roli bizneswoman. W grudniu 2008 roku otworzyła studio w Złotoryi, dwa miesiące później, idąc za ciosem, w Legnicy. Kiedy postanowiła „iść na swoje" zastanawiała się, w jakim kierunku to uczynić. Miała kilka pomysłów, ale najlepszym według niej było stworzenie w Złotoryi, jak sama mówi: *czegoś, czego nie ma, a jest na to zapotrzebowanie*. Długo szukała tej niszy. W końcu przypadkowa rozmowa z przyjaciółmi ukierunkowała jej tok myślenia. Uzmysłowiła sobie, jak wielu młodych ludzi chce mieć tatuaż, a w Złotoryi, nie ma okazji profesjonalnie tego zrobić. Zaczęła szukać informacji o tatuowaniu, przeglądała strony internetowe salonów, by w końcu podjąć decyzję o stworzeniu Black Rain.

Początki nie były łatwe, tym bardziej, że Anna wcześniej nie miała doświadczenia w prowadzeniu firmy. Najpierw musiała znaleźć lokal. Kiedy to się udało, zaczęła robić kapitalny remont. Wtedy pojawiły się pierwsze trudności. A wszystko z powodu restrykcyjnych przepisów. W sanepidzie dowiedziała się, że urządzanie studia tatuażu wygląda tak, jak przygotowywanie gabinetu medycznego. Wszystko musi mieć atesty: kosz na śmieci, stojak na ręczniki, farba na ścianę, wykładziny. Towar z atestem jest droższy od tego bez atestu, więc koszty adaptacji lokalu rosły. Kiedy wreszcie wszystko było gotowe i firma oficjalnie istniała, można było otwierać podwoje i czekać na klientów. Wtedy okazało się, że umówiony do pracy tatuator wyjechał z Polski. Na szczęście przez Naszą Klasę Anna znalazła innego pracownika - Adama, który właśnie w tej chwili dopracowuje detale pajęczych odnóży na ramieniu swego klienta.

Firma funkcjonuje już kilka miesięcy. Klientów przybywa z tygodnia na tydzień. Kto już sobie zrobił tatuaż, zachęca znajomych. Z kalkulacji Anny wynika, że w ciągu miesiąca średnio tatuuje się około 20 klientów. Im robi się cieplej, tym jest ich więcej. Ludzie wraz z pierwszymi wiosennymi promieniami słońca przypominają sobie, że mają ciało. Anna nabiera wiatru w żagle. Już myśli o poszerzeniu oferty. Może niedługo Black Rain zaoferuje makijaż permanentny lub piercing, jeśli będzie zapotrzebowanie, również tatuaż nietrwały, czyli malunki henną.

Właścicielka Black Rain nie ma tatuażu i, jak twierdzi, mieć nie chce. Nie dlatego, że się boi, ale po prostu nie umiałaby się zdecydować na konkretny wzór. *Jest tak wiele ciekawych rysunków, że prawdopodobnie gdybym zrobiła jeden, zaraz chciałabym mieć następny, więc może lepiej nie mieć żadnego. Jak będę chciała coś mieć na ciele, to sobie narysuję* – mówi z uśmiechem Anna.

Iwona Pawłowska

Akrobatka

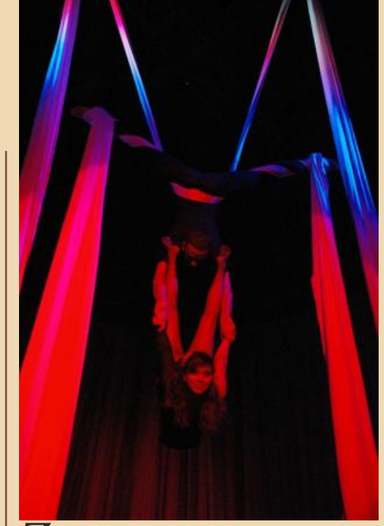

Złotoryjska grupa akrobatyczno – artystyczna „Ocelot" funkcjonuje od 1998 roku.
Jedną z osób należących do tej ekipy jest uczennica drugiej klasy złotoryjskiego Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II - Jessica Nowak. Ta niezwykle uzdolniona dziewczyna niejednokrotnie pokazała, na co ją stać, występując przed wielką widownią. Strach, panika, adrenalina – to zjawiska i pojęcia, które nie są jej obce, pomimo to potrafi pokonywać ludzkie ograniczenia i osiągać sukces. Na jednym z treningów, w których Jessica bierze udział, można zobaczyć wiele ciekawych układów akrobatycznych, które dziewczyna wraz z grupą trenujących wykonuje na sporych wysokościach, np. wisząc na kilkumetrowej szarfie. Figury, które udało nam się podpatrzeć, zrobiły na nas ogromne wrażenie.

Echo Złotoryi: Pamiętasz, kiedy postanowiłaś przyjść na pierwszy trening?
Jessica Nowak: Na pierwszy trening w drugiej klasie podstawówki zaprowadziła mnie mama. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, czy ten sport mnie zainteresuje, lecz już po pierwszej próbie postanowiłam spróbować się w tej dyscyplinie sportowej.
E.Z. Jak wspominasz początkowe treningi?
J.N. : Początkowo bardzo podobało mi się, że mogę spędzać czas w taki sposób, trenując swoje ciało. Z czasem jednak stało się to nieco uciążliwe. Było mi przykro, kiedy moje koleżanki w wolnym czasie bawiły się, jeździły na rowerach, itp. a ja musiałam iść na trening. Moja mama uporczywie stała przy swoim i czasem wręcz zmuszała mnie do chodzenia na te zajęcia. Jednak teraz jestem jej za to wdzięczna.
E.Z : Jakie trzeba mieć predyspozycje, aby tak dobrze ćwiczyć jak Ty?
J.N. : Najważniejszą chyba kwestią jest dobra kondycja ruchowa, rozciągliwość mięsni, a także należy przeciwstawić się strachowi, by pozwolić ciału wykonywać pewne czynności, zwłaszcza na wysokościach.
E.Z.: Miewałaś na pewno kontuzje, które uniemożliwiały Ci ćwiczenia.
J.N. : Nieraz zdarzały się różnego typu naciągnięcia, zwichnięcia, skręcenia, jednak takie sytuacje bardziej motywowały mnie do pracy, dzięki czemu nauczyłam się pokonywać trudności.
E.Z. : Nie boisz się, że w przyszłości te się kontuzje odezwą i utrudnią Ci życie?
J.N. : Kiedy oddajesz się pasji, robisz to, co kochasz, racjonalność czasem odchodzi na bok, jednak przy tego typu dyscyplinie ważnym elementem jest dbanie o siebie. Zastanawiam się niejednokrotnie, co by się działo, gdybym uległa wypadkowi podczas treningu czy występu. Dlatego więc za każdym razem staram się uważać i postępować według ścisłych poleceń trenerskich, by nie zrobić krzywdy sobie, a także pozostałym uczestnikom grupy.
E.Z.: Osiągnęłaś w tym czasie jakieś sukcesy?
J.N. : Kiedyś jeździłam na zawody z układem tzw. dwójki mieszanej. Wykonywałam układy ćwiczeń z kolegą z zespołu, jednak nie zajmowaliśmy żadnych znaczących miejsc (dwa razy pierwsze miejsce w eliminacjach strefowych do Ogólnopolskiej Olimpiady Młodzieży i raz- ósme w finale tej olimpiady).
EZ. Czy w obecnej chwili myślisz o tym sporcie poważnie, może wiążesz z nim swą przyszłość?
J.N. : Teraz trenuję dla własnej satysfakcji i po to, aby zadziwiać ludzi na różnorakich uroczystościach, na które jesteśmy zapraszani. Są to, np. Mistrzostwa Świata Juniorów w Lekkoatletyce 2008. Na tę chwilę należę do grupy Ocelot, dzięki której mam szansę rozwijać swoje umiejętności i zwiedzić dużo ciekawych miejsc.
E.Z : Prawdą jest to, że już sama możesz się utrzymać finansowo?
J.N. : W moim wieku ciężko jest zarabiać na siebie. Jednak każdy występ niesie ze sobą nagrody, często pieniężne. Jestem więc w stanie odkładać sobie pieniądze dla siebie, a także pozwalać sobie na drobne przyjemności.
E.Z : Jak radzisz sobie łącząc zajęcia sportowe z nauką w LO?
J.N. : Treningi zajmują mi większą część tygodnia. Staram się przy tym jednak pamiętać o moich obowiązkach i nie zaniedbywać ich. Nauka w szkole średniej wymaga poświęcenia czasu. Kiedy uprawia się taki sport, poświęcenie akurat tutaj także ma znaczenie. Im więcej trenujesz, tym bardziej doskonalisz się w tym, co robisz. Jednak do tej pory nie mam znacznych problemów z pogodzeniem zajęć szkolnych ze sportowymi.
E.Z. : 6. marca 2009 większość polskich kin doczekała się długo zapowiadanej premiery filmu pt. „Kochaj i tańcz". Wiemy, że miałaś okazję zagrać w nim zespołowo, wraz ze swoją grupą akrobatyczną. Jakie wrażenie wywarł na Tobie udział w tak sławnej sztuce, jaką jest pełnometrażowy film?
J.N. : Świetnie nam się pracowało z ludźmi z planu, byli bardzo mili... Panowała tam bardzo przyjemna atmosfera... Miałyśmy bardzo dużo pracy, bo scenę trzeba było powtarzać wiele razy, żeby wszystko wyszło dobrze... Ale tak nam się to podobało, że zmęczenie odczuliśmy dopiero po powrocie do hotelu. Szczerze mówiąc, bardziej stresowałam się oglądając ten film, niż występując przed kamerą.
E.Z.: Cieszymy się z Twoich osiągnięć i życzymy Ci dalszych sukcesów.

rozmawiały: Roksana Toryfter, Marta Jeziorska, Magdalena Baltrukiewicz

Sąsiadki

Stoisko Stowarzyszenia Centrum Kobiet w Świerzawie

W sobotę przed Niedzielą Palmową pogoda była wyjątkowa. Wielkie złociste słońce, powietrze krystalicznie czyste, a na lazurowym niebie ani jednej chmurki. Mimo bezlistnych jeszcze drzew na łąkach i w lasach kwitną śnieżnobiałe zawilce, błękitne przylaszczki i żółte ziarnopłony, tworząc rozległe kobierce. Trawa przybrała odcień szmaragdowy. Od czasu do czasu daje się widzieć bociana już to kroczącego dostojnie, już to kołującego bez pośpiechu na tle wysokiego błękitu.

W taki doskonały dzień gospodynie wiejskie ze Świerzawy pojechały na jarmark wielkanocny do Hirschfelde na zaproszenie gospodyń wiejskich po zachodniej stronie Nysy. Ta niewielka miejscowość w Niemczech leży tak blisko granicy, że z miasta doskonale są widoczne kominy kopalni Turów.

Jarmark (*Frühlingsfest*) umiejscowiono na terenie nieczynnej elektrowni, w pobliżu byłej kopalni węgla brunatnego, gdzie teraz mieści się muzeum przemysłu. Cały teren starannie uporządkowano, a dla polskich gości ze Świerzawy i Bogatyni przygotowano dwa puste namioty, aby mogli wygodnie wyeksponować przywiezione produkty.

Jarmarki wielkanocne w Niemczech mają długą tradycję. Czuje się ją na każdym kroku. Na straganach piętrzą się wszelakiej maści duże, małe i miniaturowe zajączki wielkanocne, kurki, gąski i inne symbole życia i płodności, wykonane z ekologicznych materiałów oraz przepięknie cyzelowane w drewnie inne produkty niemieckiego rzemiosła. Rozłożone na ziemi stroiki na stół wielkanocny tworzą kolorowe dywany. Pisanek niewiele. Za to dużo stoisk z jedzeniem. Tu smażone pieczarki z cebulką, których smakowity zapach roznosi się po całym terenie, ówdzie przepyszne ciasto, przygotowane przez gospodynie z Hirschfelde. Nie może zabraknąć tradycyjnych niemieckich kiełbasek (*Bradwurst*) z musztardą, zapijanych piwem. Między straganami krążą zwiedzający i kupujący, jest bardzo dużo dzieci. Do celów gastronomicznych przygotowano specjalny kącik, gdzie rozstawiono długie drewniane stoły i ławy. Wkrótce wszystkie miejsca przy stołach zapełniają się ludźmi, spożywającymi wielkanocne specjały.

Polskie pisanki w kramie Świerzawy

Na jarmarku co chwila ogłaszają jakiś konkurs dla dzieci, można też obejrzeć pokaz mody. Największą jednak atrakcją jest tradycyjny Zajączek Wielkanocny z długimi uszami rozwożący prezenty w taczce. Wokół niego stale tłoczy się gromadka zachwyconych dzieci, aby otrzymać upragniony prezent, i mieć zaszczyt rozmowy z Zajączkiem. Jarmark nie może się też obejść bez tradycyjnego kataryniarza, który ubrany w malowniczy strój z początku XX wieku, z nieodłączną małpką (teraz z konieczności pluszową), wygrywa swoje jednostajne melodie, kręcąc korbką prawdziwej katarynki.

Polskie gospodynie wiejskie również przywiozły ze sobą jedzenie. Na bogatyńskim stoisku obok białej kiełbasy leży ogromna szynka wraz z wędzoną na ciemno kiełbasą. Przy nich pyszni się kawał wędzonego boczku; właściwie to nie boczek, ale samo mięso z cieniutką warstewką tłuszczu, tak dla ozdoby jedynie. Wędliny wydzielają głęboki zapach smakowitej wędzonki. Pospołu wdzięczą się różne baby wielkanocne. Tutaj można zamówić chleb upieczony na zakwasie, posmarowany smalcem ze skwarkami i cebulką, do tego ogórek kiszony. Obok intensywnie pachnie żurek, przywieziony przez gospodynie ze Świerzawy. Przy straganach polskich wzrasta ruch w miarę jak ubywa „bradwurstów" u niemieckich gospodyń. Poza żywnością Świerzawa przywiozła dużo stroików, zielonego owsa, wyhodowanego w niewielkich doniczkach i bardzo dużo kolorowych pisanek, malowanych różnoraką techniką. Ich kram kipi kolorami.

Takie klimaty możliwe są dzięki współpracy dwóch stowarzyszeń: *Centrum Kobiet* w Świerzawie i Stowarzyszeniu Gospodyń Wiejskich Powiatu Görlitz (*Landfrauenkreisverein Görlitz e.V.)* z Hirschfelde. Świerzawskie *Centrum* zrzesza 9 kół gospodyń wiejskich z gminy Świerzawa, w sumie około stu osób, *Landfrauenkreisverein* również liczy ponad sto osób. Oba stowarzyszenia mają podobne cele. W statucie *Centrum Kobiet* w Świerzawie, które istnieje od 2001 roku, istnieje zapis o promowaniu kultury i tradycji wsi polskiej w kraju i poza jego granicami, jest też tam integracja kulturowa, wymiana doświadczeń, przekazywanie młodszym pokoleniom ich korzeni, poprawa jakości życia kobiet i ich rodzin poprzez edukację.

- Te cele realizowane są - jak powiada przewodnicząca *Centrum Kobiet* **Anna Cebula** - między innymi poprzez współpracę z podobnym stowarzyszeniem w Niemczech.

Przewodniczącą *Landfrauenkreisverein* jest **Gisela Sprenger**. Ich organizacja również dba o zachowanie tradycji w regionie, organizuje seminaria, dotyczące zdrowia kobiet, walczy o miejsca pracy dla swoich bezrobotnych członkiń. Spotykają się regularnie raz w miesiącu. Poza tym utrzymywane są kontakty z kobietami z Polski i Czech. Polegają one i na wspólnej pracy (udział w seminariach) i na wspólnej zabawie (organizowanie jarmarków bożonarodzeniowych i wielkanocnych, konkursów na wieńce dożynkowe). Poprzez takie działania jest realizowany program unijny pn. *Sąsiadki.*

- Jeśli człowiek chce godnie i dobrze żyć, musi mieć dobre sąsiedztwo - twierdzi pani Gisela. Dlatego gospodynie wiejskie z Hirschfelde regularnie współpracują i spotykają się ze swoimi sąsiadkami zza Nysy - z Bogatyni i Świerzawy.

Kobiety uczą się potraw swoich sąsiadek. Pani Gisela Sprenger twierdzi, że żadna Niemka nigdy nie zrobi takiego bigosu, jaki potrafi ugotować każda Polka. Polskie pierogi i żurek zawojowały przygraniczne miejscowości w Niemczech. Jednak żadna gospodyni niemiecka nie może zaakceptować tłuczonych ziemniaków polanych tłuszczem, jakie

Tradycyjny Zajączek Wielkanocny rozwozi taczkami prezenty

Zajączki wielkanocne

powszechnie spożywa się w naszym kraju. One ziemniaki podają zawsze jako puree. Poza tym polskie gospodynie uczą się od niemieckich ładnego ozdabiania potraw i podawania ich w odpowiednio estetycznej oprawie. Panie z *Landfrauenkreisverein* wyszukują ciekawych przepisów z Polski i Czech, bo planują wydać książkę kucharską z potrawami tych krajów.

Dzięki kilkuletniej współpracy kobiety dobrze się poznały. Zniwelowały się różnice mentalnościowe i kulturowe. Wiedzą, czego mogą się po sobie spodziewać, nauczyły się nie poruszać pewnych tematów, aby unikać zadrażnień. Po prostu się znają. Starają się skupiać na tradycji, jej różnicach i podobieństwach. Na przykład tradycja święcenia koszyczków w Wielką Sobotę bardzo podoba się niemieckim kobietom. U nich nie ma tego zwyczaju. Gospodynie z Hirschfelde podziwiają kobiety z Polski za ich bezinteresowność, za to, że nigdy nie zapytały, co dostaną w zamian za swoją pracę na przykład przy organizacji imprez stołu bożonarodzeniowego czy wielkanocnego. Poza tym młode Polki są chętne do współpracy, łatwiej się integrują i w tym zakresie mogą służyć za przykład młodzieży niemieckiej. Z kolei niemieckie kobiety są wzorem organizacji i punktualności dla gospodyń polskich.

Bariera językowa nie jest zbyt poważnym problemem, bo po polskiej stronie jest kilka osób mówiących po niemiecku, a w stowarzyszeniu *Landfrauenkreisverein* są dwie panie, które urodziły się i wychowały w Polsce, więc doskonale porozumiewają się w obu językach. Jedna z nich, pani Sabina Melde zaczęła nawet uczyć polskiego

Stoisko Bogatyni

członkinie swojego stowarzyszenia, co zostało przyjęte z aplauzem. Jednak w przypadku braku tłumacza zawsze niezawodny jest przekaz niewerbalny.

Ta współpraca polskich i niemieckich kobiet wpłynęła na zmianę poglądów wielu z nich w obu stowarzyszeniach. Przede wszystkim zaowocowało to większą tolerancją, która rozciągnęła się na ich rodziny i znajomych. Dzięki częstym spotkaniom w pełni nauczyły się akceptować wzajem swoje wady i zalety. Dzięki temu można spokojnie i godnie mieszkać obok siebie. Są po prostu sąsiadkami.

tekst i zdjęcia: Agnieszka Młyńczak

Nowe oblicze wieży widokowej

Z ogromnym zaciekawieniem wchodziłam na wieżę widokową kościoła Narodzenia Najświętszej Marii Panny po długich miesiącach remontu.

Już przy samym wejściu na dole zaskoczył mnie spory ekran monitora, na którym widać było poszczególne pomieszczenia i zwiedzających je ludzi. Dobry pomysł, który na pewno powstrzyma wandali od działań. Zresztą miałam okazję zobaczyć urządzenie w działaniu. W wieży znalazła się młodzież, która z właściwym sobie hałasem i rumorem zwiedzała obiekt, gdy nagle rozległo się:

- PROSZĘ NIE DOTYKAĆ EKSPONATÓW!

Młodzież uspokoiła się natychmiast i od tej pory zachowywała się cichutko i chyba kulturalnie, sądząc po odgłosach, a raczej ich braku.

Najpierw znalazłam się w *Bibliotece łańcuchowej*. Pomieszczenie odmalowane, z nową posadzką (?) wydaje się jakby jaśniejsze. Manekiny w strojach z epoki pomagają wyobraźni przeżywać podróż w czasie. Z boku przy gotyckim oknie replika pulpitu wraz z zydlem jakby żywcem przeniesiona ze średniowiecznego skryptorium. Pośrodku (to pozostałość z czasu, gdy wieżą opiekowało się TMZZ) regał z biblioteki łańcuchowej. Całości dopełniają gęsie pióra do pisania, grube zwoje umieszczone to tu, to tam, i świece, podobne do tych, przy których mozolili się niegdyś scholarowie. Nie brakuje też informacji w trzech językach (polskim, niemieckim i angielskim) podanych w przystępny sposób na dużych planszach. Niestety kontemplację biblioteki zakłócają głosy ludzi dochodzące z głośników (umieszczone są w każdym pomieszczeniu) bardzo wyraźnie, wręcz za głośno. Chyba popełniono jakiś błąd w doborze sposobu nagłaśniania.

Doskonałym pomysłem są ulotki w trzech językach, które można zabrać ze sobą na pamiątkę. Jednak wydaje się, że można by było oprócz nich wydać również broszurę, traktującą całościowo wieżę z uwzględnieniem zaangażowania Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej w udostępnienie jej zwiedzającym. Przecież gdyby nie mozolna praca wielu wolontariuszy Towarzystwa, tej atrakcji turystycznej, być może, nie byłoby do tej pory w naszym mieście.

Niesamowite wrażenie sprawia *Komora siedmiu śpiących*. Tutaj przechodzą aż ciarki po plecach. W półmroku niszy siedzi tajemnicza zawoalowana postać, na dnie krypty (lochu) leżą ciała dwóch nieszczęsnych mieszczan zagłodzonych na śmierć. Teraz to tylko dwa kościotrupy w strzępach odzienia, a jeszcze zakutych w kajdany. Nie wiadomo skąd dobiegają odgłosy jakby jednostajnego kapania wody, głośnego tykania zegara, jakieś jęki potępieńcze i wycia (duchów zapewne).

Na ulotkach podano, że jest to komora siedmiu śpiących z legendy, gdy Mongołowie w 1241 roku zamurowali żywcem złotoryjskich mieszczan. Szkoda, że nie podano prawdy historycznej, iż jest to krypta rodu Helmrichów. Można by było w jakiś sposób powiązać to z legendą, a pomieszczenie na pewno nie straciłoby na tajemniczości.

Bardzo pomysłowo zostały ukryte urządzenia telefonii komórkowej, których w ogóle nie widać zza dużych plansz ze zdjęciami i opisem miejsc do zwiedzania.

Na galerii widokowej na uwagę zasługuje luneta przymocowana na stałe do parapetu, skierowana na kamienice w Rynku. Spragnieni widoków natury zostaną wynagrodzeni opisem panoram na zdjęciach umieszczonych na balustradzie z czterech stron świata. Zdjęcia są bardzo dobrej jakości, jednakże materiał, z którego zostały wykonane, nie

gwarantuje chyba zbyt długiej odporności na działanie słońca i deszczu.

Na tej ostatniej kondygnacji widać już działanie wandali wyżywających się na manekinach i na planszy informacyjnej, z której opada osłaniająca ją pleksi. Czyżby tu nie sięgała kamera?

Na zakończenie parę uwag. Widać, że schody wieży nie były zamiatane od dawna, a w bibliotece łańcuchowej na księgach zalega warstwa kurzu. Stanowi to brzydki kontrast z resztą pomieszczeń. Poza tym przy wejściu do obiektu razi brak stoiska ze złotoryjskimi wydawnictwami i gadżetami o naszym mieście. Przecież to doskonała okazja do ich sprzedaży w tym właśnie miejscu. Wydaje się też, że gdyby obsługa, znajdująca się przecież cały czas na zewnątrz, była ubrana w stroje średniowieczne, zrobiłaby kolosalne wrażenie na przechodzących, zachęcając jeszcze bardziej do zwiedzania.

Reasumując, warto było poczekać tak długo, żeby móc zobaczyć świetny efekt końcowy. Moje miasto zyskało kolejne miejsce, gdzie można z dumą pokazać jego historię.

Tekst i zdjęcia: Agnieszka Młyńczak

Bacalarus czyli rzecz o śpiewaniu

Koncert w styczniu 2007 r., fot. z archiwum chóru

Próba

- Na początek jak zwykle gimnastyka. Skłony w przód i na boki: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy… Teraz rozluźniamy mięśnie szyi. Obracamy głowę dookoła, dookoła, a teraz w drugą stronę. Jeszcze nogi. Podnosimy kolana i dotykamy do łokci, jeszcze trochę… No, wystarczy. Ciało mamy już rozluźnione, luźne chrapy, świetnie. Szukamy rezonansu… Teraz rozgrzewamy aparat wokalny, bo jest jeszcze zahamowany. Głos trzeba umieć wydobyć. Wokaliza, proszę. Raz, dwa, trzy, już! - dyrygent Jarosław Lewków, absolwent kijowskiej akademii muzycznej, w sposób profesjonalny rozgrzewa chór, aby móc zacząć próby polskich pieśni szykowanych na święta majowe.

Chórzyści siedzą wygodnie na krzesłach ustawionych w podkowę. W środku dyrygent. Też usiłuje siedzieć, ale bez przerwy zrywa się, podchodzi do chórzystów, podaje dźwięk, czasem śpiewa z jakimś altem czy sopranem, za chwilę biegnie w przeciwną stronę, bo nie podoba mu się to, co wykonuje tenor.

- No, a teraz śpiewamy z tekstem, ale uważajcie, aby wam ten tekst nie przeszkadzał… Nie gubcie rytmu. Raz, dwa, trzy… Kto tam nie trafia? Jeszcze raz! Jeszcze raz od tego momentu…

- *Oj, nasi jadą, ciemno, nie widać, ciemno, nie widać, oj jak przyjadą, będą się witać…* melodia pięknej wielogłosowej pieśni wije się i unosi w przestrzeni sali. Dyrygentowi coś się tu nie podoba, śpiewa tak, jak powinno być, więc zaczynają jeszcze raz, a potem jeszcze raz, potem jeszcze wiele razy. Czas próby mija bardzo szybko.

- No, może być - przechodzą do prób następnego utworu.

- Cisza! Źle! - dyrygent szuka błędu, gdy chór utyka na trudnej frazie. Zwrotka zaczyna się krótkim oddechem. Maestro próbuje wytłumaczyć śpiewającym, jak powinno wyglądać poprawne wykonanie.

- Schować oddech, bo to przecina dźwięk na pół. Oddychać co drugi dźwięk. To jest piosenka miłosna, macie ją śpiewać z uczuciem i tęsknotą. Jeszcze raz!

- *A dajże mi Boże okienko w komorze, żebym wyglądała, żebym wyglądała, gdzie mój Jaśko orze…* - zespół powtarza tę samą frazę jeszcze raz, i jeszcze raz, i kolejny, chyba już dziesiąty. Wykonanie ma być na wysokim poziomie, bo przecież z tego *Bacalarus* słynie. Każdy nowy utwór potrzebuje co najmniej kilku takich dwugodzinnych prób, aby dyrygent był zadowolony z wykonania. W sali klubowej Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji próby mogą odbywać się bez przeszkód dwa razy w tygodniu dzięki uprzejmości dyrektora Zbigniewa Gruszczyńskiego.

Trochę historii

W 1968 roku przy Powiatowym Domu Kultury Stanisław Miller i Zdzisław Francuz założyli chór. Ten zespół rozpadł się ostatecznie w 1974 roku. Tak więc chóru nie było w mieście do roku 1985, kiedy to Alfred Michler został inspektorem oświaty. Już od pierwszych dni urzędowania z właściwą sobie energią zaczął robić rozeznanie co do możliwości utworzenia nowego chóru. Szybko dopiął swego i pierwsza próba pod dyrygentem Stanisławem Bąkiem odbyła się już 7 stycznia 1986 roku. Przyszło na nią 17 osób, które rekrutowały się z nauczycieli i pracowników administracyjnych oświaty. To właśnie pan Alfred (Fred, jak mawiają o nim przyjaciele) dzięki swojej niezwykłej charyzmie zachęcał, namawiał i zdobywał kolejnych chórzystów. Robił to też cały czas później, aż do swojego odejścia z chóru.

- Pod batutą Stanisława Bąka przez 10 lat szlifowaliśmy umiejętności śpiewacze. Jego takt, humor, ciepło, które roztaczał w połączeniu z umiejętnościami organizacyjnymi „prezeski" Stanisławy Chaim doprowadziły do tego, że staliśmy się chóralną rodziną - wspomina Krystyna Świrzewska.

W 1996 roku na 10 lat dyrygentem został Franciszek Kosch. Był to dobry czas dla chóru. Dawano wtedy nawet średnio 16 koncertów w roku. Liczba chórzystów zwiększyła się do pięćdziesięciu osób, próby zwiększono do dwóch dni w tygodniu. Nowy dyrygent wprowadził inny styl pracy i drakońską dyscyplinę. Nastąpiła zmiana repertuaru. Chór zaczął śpiewać utwory poważne, sakralne, po łacinie i w języku niemieckim. Wtedy próby odbywały się już w tym miejscu co obecnie, w sali klubowej ZOK-u. Zespół jeździł z koncertami po kraju i Europie. Pierwszy zagraniczny wyjazd był do Holandii w 1991 roku. W Niemczech byli pięciokrotnie, w Czechach około sześciu razy, dokąd zapraszał ich zaprzyjaźniony zespół. Nasi chórzyści koncertowali też we Francji (1996), w Grecji (1998). Występy w Grecji to był szczególny czas. Nawet została wydana specjalna książeczka upamiętniająca ich pobyt.

Kłopoty chóru zaczęły się w 2001 roku po rezygnacji Stanisławy Chaim z funkcji prezesa. Miejsce pani Stanisławy zajął Janusz Mileszko. W 2006 r. odszedł dotychczasowy dyrygent, w chórze zrodziły się napięcia, zrezygnowała większość mężczyzn. Zespół znalazł się w impasie. Wtedy Andrzej Skowroński i Zbigniew Wróblewski postanowili ratować chór. Kolejnym prezesem został w 2004 roku Zbigniew Wróblewski. Obecnie w zespole jest 21 osób; borykają się z problemem braku głosów męskich.

Dzień dzisiejszy

Gdy chórem zaczął dyrygować dr Jarosław Lewków, nastąpiła zmiana stylu pracy chóru.

- Nie mogliśmy już śpiewać z nowym dyrygentem pieśni, które znaliśmy - opowiada z przejęciem prezes Zbigniew Wróblewski - zatem byliśmy zmuszeni podjąć decyzję o częściowej zmianie repertuaru.

Jarosław Lewków po trzech latach pracy z chórem wie doskonale, czego absolutnie nie może robić, oraz czego z kolei może się spodziewać po zespole. Skądinąd krewki maestro, któremu często zdarzało się rzucać o ziemię partyturą, gdy coś szło nie po jego myśli, przy pracy z *Bacalarusem* musiał zmienić swoje postępowanie.

- Trafiłem do chóru, który miał określone nawyki muzyczne i ogromne kompleksy. Zespół był obwiązany psychicznymi i mentalnymi bandażami jak mumia egipska, ściśnięty do niemożliwości. Moi podopieczni przyznają się do tego. Jeszcze nie do końca udało mi się zlikwidować w nich te strachy i nerwowość z poprzedniego okresu, chociaż nową technikę śpiewania już wypracowaliśmy. Czekam na moment, gdy chór się wyluzuje, a wtedy moje założenia i cele zostaną osiągnięte. Dzięki temu, że zmiany techniczne wprowadzałem powoli, szybko zostały przez chórzystów zaakceptowane. Publiczność mówi po koncertach, że teraz chór jest zupełnie inny. I chyba się to podoba. Mam do zrobienia jeszcze kilka rzeczy, ale to tylko kosmetyka. Z tym zespołem już muzykuję. Natomiast nasza bolączka to brak basów. To jest tak poważny problem, że związuje nam ręce przy planowaniu koncertów. Serdecznie apeluję do panów, którzy chcieliby popróbować przygody z chórem i przyszli do nas pośpiewać.

Nowy dyrygent zrezygnował z udziału instrumentu podczas prób. W ten sposób zespół odzwyczaja się od stroju temperowanego i chór jest w stanie kontrolować intonację, a więc świadomie umiejscawia dźwięki w skali (wyżej bądź niżej), a to się przekłada na efekt estetyczny śpiewu, który jest bardziej żywy. Chór stroi się sam podczas śpiewu, jak instrument. Jest to proces nie do końca kontrolowany, czasem poza świadomością, bo ta kształtowana jest na próbach. Druga poważna zmiana to zgoda na to, że chór podczas prób siedzi. Pod poprzednim dyrygentem odbywały się one na stojąco. Prawidłowo śpiewać, oddychać, opierać dźwięk na przeponie można również w pozycji siedzącej, odciążając kręgosłup i oszczędzając siły.

Jarosław Lewków chętnie wprowadza do repertuaru utwory obcojęzyczne. Uważa, że należy zawsze śpiewać w oryginale. Jednakże jest tu pewne niebezpieczeństwo. Każda muzyka zawiera prawdę o sobie, a ciężko tę prawdę wydobyć z obcego języka, bo trzeba go perfekcyjnie znać, aby dobrze wyśpiewać i do tego przeniknąć płaszczyznę kulturową, którą niesie w sobie utwór. Można, co prawda, zaśpiewać pieśń w obcym języku, oddając dość wiernie melodykę, harmonię, rytm, dynamikę, ale nie przekaże się jej treści. Z kolei przekłady według pana doktora to jedynie droga na skróty.

Nieco teorii

Głosy męskie i żeńskie dzielą się na połowy. Kobiety śpiewające wysoko to soprany, nisko - to alty. Wysokie głosy męskie to tenory, niskie głosy męskie to basy.

Podczas klasycznego ustawienia chóru po lewej stronie dyrygenta stoją wysokie głosy, czyli na dole soprany, na górze tenory, a po prawej, niskie głosy: na dole alty, na górze basy. Jednak dyrygent może to zmienić w zależności od utworu, akustyki i składu osobowego. Gdy zespół jest niewielki, to mieści się w kole. Jest to formacja korzystna dla chóru, bo wszyscy się doskonale słyszą i widzą, ponadto dźwięki się miksują i dobrze niosą się w przestrzeń. Soprany i alty stoją wtedy tyłem do publiczności.

Soprany często mają rolę wiodącą w melodii, ale bywa i tak, że inne głosy podśpiewują inne linie melodyczne, które są jakby dialogiem z sopranami. Sztuka dyrygencka polega na tym, żeby z partytury wydobyć wszystkie ciekawe głosy rozsiane po różnych partiach. Partytura powinna wić się od głosu do głosu. Tu pojawiają się alty, tu znowu tenory, odpowiadają im soprany, a basy podkreślają jakieś dwie ciekawe nuty. Wtedy tworzy się polifonia, przestrzenne słyszenie utworu.

Podskórne życie chóru

- Najfajniejszy chrzest chórzystów był w Grecji w lipcu 1998 roku podczas festiwalu chórów - wspomina Jolanta Wojciechowska. - Przed wyjazdem mieliśmy przykazane, aby wziąć ze sobą białe prześcieradła. Nie wszystkich wtajemniczono. Potem się okazało, że mieliśmy być Grekami, oczywiście. Ceremonia odbywała się na plaży. Udrapowane prześcieradła udawały stroje greckie, na naszych głowach tkwiły wieńce. Dyrygent grał rolę Zeusa, a my byłyśmy jego nimfami. Usadowiliśmy się na kamieniach na plaży tworząc malowniczą grupę. Wtedy przyjmowaliśmy w poczet chórzystów dziesięciu licealistów.

- Każda z tych dziesięciu osób miała swojego chrzestnego i otrzymywała na chrzcie nowe imię chórowe - ciągnie dalej Anna Frąckiewicz. - W prezencie otrzymali greckie tarcze przygotowane przez naszego artystę Mariana Smasia.

- Nowi adepci musieli wykonać jakieś zadanie, wszystko odbywało się, naturalnie, w kategoriach żartu - wpada w słowo Krystyna Świrzewska. - Na przykład nowy musiał wejść do morza w białej todze, zanurzyć się porządnie i złożyć u stóp Zeusa kamyczek.

- W Teplicach było też super. Przyszła ciepła wiosna, więc klimaty były typu „gaik zielony". Poprzebierani byliśmy za wróżki, nimfy, zwierzątka leśne, im bardziej kolorowo, tym lepiej.

- Moje przyjęcie do chóru *Bacalarus* odbywało się w konwencji Dzikiego Zachodu - opowiada Jolanta Wojciechowska. - Byliśmy wtedy w Sosnówce na warsztatach. Zadania wykonywane przez adeptów też były w tym stylu. Piłowanie deski, rzucanie lassem, itp.

- A pamiętacie, jak przytopili dyrektora Gruszczyńskiego w strumyku, gdy był chrzczony jako honorowy chórzysta? Cały ociekał wodą, a potem długo sechł - przypomniała sobie Wanda Klonowska. To wspomnienie wywołuje wesołość wszystkich pozostałych.

Tradycyjnie zespół przed ważnymi występami organizuje warsztaty chóralne, które polegają na tym, że zespół wyjeżdża poza Złotoryję, aby w ciągu kilku dni weekendu wyszlifować i dopracować do perfekcji repertuar. Oprócz pracy była i jest też rozrywka. Wieczorne zebrania towarzyskie otrzymywały zawsze myśl przewodnią lub hasło. Młodzież wpadła na pomysł rozdawania bakalarusików, niewielkich statuetek wykonanych przez nich samodzielnie z jakiejś glinki. Ogłaszano galę i wszyscy ubierali się w stroje wieczorowe. Młodzież podchodziła do tego z całą powagą. Kategorie przyznawania bakalarusików były różne. Na przykład największy spóźnialski roku dostawał statuetkę za punktualność, była kategoria elegant roku, ale najważniejszą nagrodą był bakalarusik za najlepszy głos.

Chór tworzą ludzie różnych profesji i wśród nich zdarzają się głosy nieprzeciętne, na przykład Leszka Mamczura, Ireny Siwak, Angeliki Krzemińskiej, Magdy Ardelli, Mariana Smasia, Janusza Mileszko czy Mieczysława Pluty.

- W *Bacalarusie* śpiewam 24 lata - mówi Anna Frąckiewicz. - Śpiewać lubiłam zawsze, chociaż nie jestem typem solistki. Do chóru wciągnęła mnie Bogdana Chrzanowska. Miałam wtedy dziewięcioletnią córeczkę, którą szykowałam do pierwszej komunii i też starsze dziecko. Wiedziałam, że jeżeli zdecyduję się śpiewać, będę musiała sobie poradzić organizacyjnie. Przyszłam na pierwszą próbę i zostałam aż do tej pory. Potem liczył się nie tylko śpiew. Można powiedzieć, że zespół… był… naszą rodziną chórową - pani Ania powoli dobiera słowa, jakby przyszło jej o tym mówić po raz pierwszy. - I dla tej rodziny warto poświęcić kolejny serial telewizyjny, spotkania ze znajomymi i inne mniej znaczące zajęcia.

- To też jest grupa wsparcia - dodaje pani Jola. - My wszyscy doskonale się znamy i lubimy. Chcemy razem się bawić, ale gdy jest nam gorzej, nikt nie pozostaje bez pomocy. Na przestrzeni tylu lat przeżywaliśmy śluby, narodziny naszych dzieci, rozwody, nawet pogrzeby. W zespole zawsze znajdzie się ktoś taki, na kogo mogę liczyć w trudnych chwilach.

- Nasza największa porażka? To było w Nowym Targu - wspomina Krystyna Świrzewska. - To była kompletna klapa. Do tego stopnia, że dyrygent musiał przerwać wykonanie utworu. Takie coś zdarzyło nam się ten jeden jedyny raz. A najlepszy koncert daliśmy chyba podczas przeglądu chórów w Ostrowie Wielkopolskim. Wtedy po wykonaniu mazura ze *Strasznego Dworu* dostaliśmy długotrwałe owacje na stojąco. Inne chóry podejrzewały, że śpiewają u nas zawodowi śpiewacy operowi. Ogromnym aplauzem zostało przyjęte wykonanie Mszy Koronacyjnej Mozarta we Francji z popisem naszych solistów .

Misja

Celem działania chóru „Bacalarus" jest rozwijanie i upowszechnianie kultury muzycznej, w szczególności śpiewaczej, w swoim środowisku i w kraju, a także popularyzowanie polskiej twórczości muzycznej za granicą. Tak stanowi statut zespołu, który zgodnie z prawem od 1989 roku stał się niezależną i samorządną jednostką społeczno - kulturalną, stowarzyszeniem, które posiada osobowość prawną. Chór jest wspierany niewielką kwotą przez miejski samorząd, chórzyści uiszczają składki, jednak potrzeby finansowe są o wiele większe. Dlatego zarząd robi wiele dla zdobycia sponsorów na swoją działalność. W 2006 roku pozyskano środki unijne.

Chór Nauczycielski Bacalarus jest ambasadorem Złotoryi, jak mawiają niektórzy. Jakkolwiek zarząd chóru jest zdania, że poniższą opinię mają prawo formułować jedynie krytycy muzyczni, jednak wydaje się, że nadszedł czas, aby zastanowić się nad wprowadzeniem nowych rodzajów działalności zespołu. Na przykład wprowadzenie form interaktywnych, które z powodzeniem stosowane są w dużych miastach przez uznane zespoły, z pewnością zwiększyłoby zainteresowanie złotoryjan i chórem *Bacalarus,* i muzyką w ogóle. Wszak o to przecież nam wszystkim chodzi.

Agnieszka Młyńczak

Chór podczas próby fot. A. Młyńczak

Aktualny skład Chóru Nauczycielskiego *Bacalarus*

Alty: Stanisława Chaim, Anna Frąckiewicz, Jadwiga Kaliciak, Maria Kicińska, Wanda Klonowska, Krystyna Małek, Julia Obuch, Elżbieta Ptak, Halina Tyc, Urszula Soroka - Kiman, Halina Zamojska.

Soprany: Renata Rakoczy - Wójtowicz, Irena Siwak, Marta Straszkiewicz, Krystyna Świrzewska, Maria Wojciechowska - Smoczyńska..

Tenory: Leon Mamczur, Czesław Rydzik, Andrzej Skowroński, Zbigniew Wróblewski

Basy: Krzysztof Moroz.

Apel zarządu Chóru Nauczycielskiego *Bacalarus*

Przyjdźcie i pośpiewajcie z nami! Każda osoba, która zechce przyjść do naszego chóru, w krótkim czasie nadrobi zaległości i szybko dogoni resztę zespołu jeśli chodzi o naukę utworów. Apelujemy zwłaszcza do panów, którzy chcieliby popróbować śpiewającej przygody. Zapraszamy na próby zespołu w każdy wtorek i piątek do sali klubowej ZOKiR-u od godz. 18.00 do 20.00. Wejście od ul. Żeromskiego.

Najbliższe koncerty chóru *Bacalarus*

21 maja 2009 r. - *Spotkanie 80 – latków*
Koncert Utworów Ludowych w ZOKiR – zaproszenie Związku Emerytów i Rencistów

28 maja 2009 r. - Koncert Pieśni Chóralnej w ZOKiR, godz. 18^{oo}

29 maja 2009 r. - Występ z okazji XVI Otwartych Międzynarodowych Mistrzostw Polski w Płukaniu Złota, Kościół pw. NNMP godz. 18^{oo}

14 czerwca 2009 r. - Koncert Pieśni Chóralnej kościół w Wałbrzychu Nowe Miasto godz. 19^{oo}

28 czerwca 2009 r. - Koncert na II Festiwalu *Muzyka Serc*, kościół pw. Św. Jana Chrzciciela, Jelenia Góra – Cieplice godz. 16^{oo}

W blasku i cieniu Wilczej Góry - cz. I

Gdyby współczesnemu mieszkańcowi Wilkowa (wsi lub osiedla) postawiono zadanie ułożenia chronologicznego powstania trzech części składowych Wilkowa: osiedla, wsi oraz byłego folwarku - prawdopodobnie zaakceptowałby taki, jak podano wyżej. Tymczasem jest wysoce prawdopodobne, a w przypadku osiedla nawet pewne, że kolejność jest odwrotna. Według wszelkiego prawdopodobieństwa początków osady należy upatrywać właśnie w folwarku (o którym obecnie wilkowianie prawie zupełnie zapomnieli – pamiętają PGR), przy którym rozwinęła się wiejska osada, a dopiero później, w okresie intensywnej eksploatacji złóż rudy miedzi, powstało osiedle – jako osiedle górnicze.

Obecny Wilków to duża uprzemysłowiona wieś, składająca się z dwóch odrębnych części, łączących się zabudowaniami. Górna część tworzy osiedle (zwane niegdyś osiedlem robotniczym), natomiast dolna – to duża wieś łańcuchowa (długość przekracza 2 km). Wilków jest miejscowością o złożonej funkcji.

Od strony administracyjnej, uchwałą Rady Gminy Złotoryja, Wilków tworzą dwie odrębne jednostki: Wilków – Osiedle z przewodniczącym osiedla (obecnie Elżbieta Banaszyńska), oraz Wilków - Wieś z sołtysem wsi (obecnie Maria Korobajło). Do Wilkowa Wsi należy dodatkowo Sępów - jako przysiółek oraz Nowa Ziemia – jako osada. Wilków – Osiedle „podzielono" na 16 ulic (2009 r.).

NAJWCZEŚNIEJSZE DZIEJE

Osiedle narzuca przybyszowi skojarzenie, że ma do czynienia z miejscowością nową, gdyż osiedle ma właściwie charakter miejski. Tymczasem mamy przed sobą teren starodawnego osadnictwa. Archeolodzy doszukali się w okolicach Wilkowa narzędzi kamiennych pochodzących z epoki neolitu; reprezentuje je kamienna siekierka.

Według legendy, która powstała w XIV w., Wilków miał zostać założony przez złotoryjskiego burmistrza Roswyna von Titzko. Tenże burmistrz miał wykorzystać do tego celu część skarbów nagromadzonych przez rozbójników w grocie na Wilczej Górze. Bliższe prawdy będzie jednak przyjęcie tezy, że początków miejscowości szukać należy w osadzie, która mogła powstać nawet już w XIII wieku.

VILLA LUPI

Pozornie wyjaśnienie pochodzenia nazwy nie nastręcza żadnych problemów: nazwa pochodzi od wilka lub pobliskiej Wilczej Góry. Tymczasem wyjaśnienie nie musi być wcale tak jednoznaczne. Na Śląsku jest bardzo dużo wsi o nazwie Wilków. Nasz Wilków w dokumentach źródłowych wzmiankowany jest bardzo późno, bo dopiero w roku 1428.

Powszechnie uważa się, że nazwa pochodzi od słów: „Wolf" = wilk oraz „Dorf" = wieś. Istnieje jednak również inna interpretacja niemieckiej nazwy Wolfsdorf. Nakazuje ona przeniesienie punktu ciężkości nie na człon „Wolf", lecz na podobnie brzmiące – „Wehrwolf". Zgodnie z tą interpretacją Wilków pełnił rolę osady obronnej (Wehr = obrona). Pan ziemi wyposażał mieszkańców w akcesoria obronne dla odparcia wroga zewnętrznego. J. Domański natomiast zwraca uwagę, że niektóre nazwy niemieckie mogły być początkowo tłumaczeniami polskich (śląskich) nazw miejscowych, a dopiero później przybierały kancelaryjną formę niemiecką.

Najwcześniejsza nazwa Wilkowa pojawiła się w dokumencie z roku 1268, w którym występuje miejscowość „villa lupi", czyli wilcza wieś, czyli Wilków (z łac. villa= wieś, lupus=wilk). Kolejna nazwa pojawia się po 150 latach, i już w formie bardzo bliskiej współczesnej nazwie niemieckiej – Wolffsdorff (fonetycznie nie zauważymy żadnej różnicy). Od roku 1726 mamy Wolfsdorf i przez 220 lat taka nazwa będzie używana.

Zaraz po II wojnie używano nazwy Wilczyn, a od roku 1946 – Wilków.

FOLWARK

Folwark jako majątek rycerski powstał najpewniej w XIII wieku, a więc byłby najstarszą częścią obecnego Wilkowa.

Powstanie majątku we współczesnym rozumieniu należy odnieść do początków XV wieku; podawana jest data – 1418. Majątek był dziedzicznym, wolnym od czynszu dobrem rycerskim. Właściciel majątku był zazwyczaj patronem wsi. W skład majątku wchodził dom pana oraz pański folwark. Powierzchnia gruntów wynosiła około 300 ha, z tego około 200 – to grunty orne; ponadto były lasy, łąki i pastwiska. Do majątku przynależała gorzelnia. Jeszcze na przełomie XIX i XX wieku majątek w Wilkowie stanowił przodującą część Wilkowa. Obiekty należące do folwarku oraz jedynie tzw. karczma sądowa (Gerichtskretscham) jako pierwsze otrzymały prąd elektryczny (1902); dopiero 10 lat później prąd elektryczny podłączono do reszty wsi (1912).

KARCZMA

Karczmę sądową posiadała prawie każda wieś, a przynajmniej te większe i lepiej zorganizowane. W takich karczmach w określone dni właściciel wsi wspólnie z ławą sądową rozstrzygał sprawy niższego rzędu; trudne były rozstrzygane w Złotoryi. Budynek Geritskretscham w Wilkowie nie zachował się – z zachowanej fotografii wynika, że był to okazały obiekt.

ZARYS DZIEJÓW

W odniesieniu do początków miejscowości dysponujemy jedynie fragmentarycznymi danymi. Zaprezentowane niżej dane to zarys historyczny w podstawowej wersji.

Przekaz z roku 1268 informuje, że kapituła katedry wrocławskiej pobiera czynsz z Wilkowa. W roku 1398 czynsz ten przejęły Magdalenki z Lubania.

W okresie reformacji prawie cała ludność przeszła na protestantyzm. Zastanawiające jest, że tak bogata i duża wieś nie miała dotąd własnej świątyni. Zmuszało to ewangelików do praktykowania w Złotoryi lub w Nowym Kościele, a nielicznych katolików (po reformacji) – w Złotoryi.

Wojna trzydziestoletnia spowodowała bardzo duże straty – materialne i ludnościowe. Zanotowano, że znaczna część miejscowości spłonęła, a mieszkańcy opuścili wieś.

Wiele wskazuje na to, że Wilków dość szybko się zregenerował. Może o tym świadczyć (lecz nie musi) to, że emporę w złotoryjskim Kościele Narodzenia Najświętszej Marii Panny ufundował Wilków (prawdopodobnie właściciel folwarku). Z tego wieku, a konkretnie z dnia 13. grudnia 1668 pochodzi intrygująca informacja o spaleniu żywcem pewnej kobiety. Wzmiankuje się, że była obłąkana (blödsinniges Weib) i podpalała budynki w Nowym Kościele i Wilkowie.

Na podstawie danych z roku 1726 można wnosić, że na początku XVIII wieku Wilków jest już dużą wsią. Za 60 lat miejscowość będzie zamieszkiwało 658 mieszkańców (1786). Pod koniec XVIII wieku (1789), w Wilkowie potwierdzone jest istnienie, oprócz folwarku, karczmy, dwóch młynów wodnych, wiatraka, kuźni, 112 budynków; w wiosce żyje 59 chałupników, 28 kmieci oraz 17 zagrodników. W pamięci ówczesnych mieszkańców pozostawał długo 26. września 1761 roku, kiedy przebywały tu rosyjskie oddziały i jak zanotował kronikarz L. Sturm – „dopuszczały się ekscesów".

Na przełomie XVIII i XIX wieku wieś zamieszkuje 775 mieszkańców, w 135 domach. Oprócz folwarku, jak podają dokumenty, we wsi jest 135 budynków oraz zamek. Po raz pierwszy wymieniona jest szkoła ewangelicka z jednym nauczycielem, a ponadto: tartak, wapiennik, kamieniołom; działalność prowadzi 5 kowali i 3 cieśli. Raz w tygodniu w Wilkowie odbywały się jarmarki. W czasie kampanii napoleońskiej wieś zajęli Francuzi (27 maja 1813). Było to po zwycięskiej potyczce z Rosjanami, którą musieli odpowiednio uczcić. Odnotowano dość poważne straty. Biorąc pod uwagę wojenne prawa i zwyczaje nie może to niestety dziwić, jeśli dodatkowo zważymy, iż z 22. na 23. sierpnia 1813 w lasach koło Wilkowa oraz na stokach Wilczej Góry przebywało około stu tys. żołnierzy (francuskich, pruskich, rosyjskich). Dane z lat 1825 i 1830 mówią o wzroście liczby ludności do 893, w tym tylko 14 katolików. Liczba zabudowań zmalała do 128 – prawdopodobnie jako rezultat przemarszu wojsk w okresie wojny napoleońskiej. Według nowszych danych, niż te z przełomu wieków, pojawia się 25 rzemieślników, 6 zakładów rolnych, posiadaczy kamieniołomów. Wieś organizuje targi już dwa razy w tygodniu. Dużą rolę odgrywa hodowla, o czym świadczy liczba 928 merynosów oraz 321 sztuk bydła.

Do końca XIX wieku nie zmienia się zasadniczo wizerunek wsi. Rytm nadaje jej folwark. We wsi prowadzi działalność duża liczba rzemieślników różnych specjalności. Liczba kamieniołomów zmniejsza się lub zwiększa w zależności od popytu na ten surowiec. Oprócz rolnictwa, mieszkańców absorbuje nadal hodowla.

Dane statystyczne dotyczące końca XIX wieku podają, że w Wilkowie jest 131 zabudowań, w których mieszka 667 mieszkańców, w tym 13 katolików.

POCZTA

Ciekawe i praktyczne rozwiązanie znaleźli ówcześni mieszkańcy wsi w zakresie przekazywania sobie informacji. W przypadku, gdy trzeba było pilnie przekazać informację (nie było poczty ani telefonów), sporządzano 4 jednobrzmiące pisma, które puszczano w obieg w następujący sposób: z każdej strony wsi puszczano w obieg, z dołu i z góry, kartkę z informacją, które w ten sposób spotykały się w połowie wsi, w określonym budynku – stamtąd sołtys odbierał je. Może byłby to sposób na obecne kłopoty z pocztą?

Jeszcze długo przed wprowadzeniem kolei, doliną Kaczawy biegła droga pocztowa ze Złotoryi przez Świerzawę, Kapelę, do Jeleniej Góry. Biegła ona przez Wilków i przecinała wieś w poprzek. W Złotoryi zaczynała się przy Bramie Wilczej (obecnie skrzyżowanie dróg do Wilkowa i Legnicy), biegła obecną ulicą B. Krzywoustego obok majątku u góry, obok Wilczej Góry - do Wilkowa. Droga ta biegła nie ściśle doliną Kaczawy, lecz zboczami, i w ten sposób nie była zależna od „wysokiej wody", czyli powodzi; dopiero przed Świerzawą (w okolicach Biegoszowa) wiodła doliną rzeki.

POCZĄTKI OSIEDLA

Konkretne zmiany w krajobrazie Wilkowa nastąpiły w latach 30. XX wieku. Wtedy odkryto i przebadano złoża rudy miedzi między Wilkowem a Leszczyną. Rezultaty były pomyślne i w roku 1936 rozpoczęto budowę kopalni. Przy geologicznym rozpoznawaniu lewego brzegu Prusickiego Potoku pracowało około 3,5 tys. osób. Jeden z szybów kopalni, która w tym czasie powstała, miał ponad 5 m szerokości i 75 m głębokości (ostatecznie 217 m). Nad szybem stanęła trzydziestometrowa wieża z czterema kołami. Długość chodników dochodziła do 3 km. Zatrudniano prawie 500 osób. W dokumentach przewija się nazwa spółki Georga von Gieschena Erbena z Wrocławia, która rozpoczęła eksploatację – uzyskano już w tym czasie pierwszą rudę miedzi (około 1939 roku).

Jednocześnie zaplanowano i rozpoczęto budowę (1938) osiedla górniczego. W roku 1945 miały w nim zamieszkiwać 4000 osób, a docelowo 9000 osób. Osiedle powstało na tarasowatym wywyższeniu. Pracownicy i w dużej mierze pierwsi mieszkańcy osiedla przybyli z okolic Kłodzka, z tamtejszych kopalń węgla (wśród nich było wielu katolików). W osiedlu zaplanowano i realizowano szerokie założenia z zakresu infrastruktury społecznej – ratusz, piekarnia, masarnia, tekstylia. Wielkim osiągnięciem było wybudowanie nowoczesnej, osiemnastoklasowej szkoły (1940). Szkoła miała najnowocześniejszy wówczas sprzęt i urządzenia. Miała również salę gimnastyczną, która w czasie wojny służyła jako sala kinowa. Uruchomiono stację autobusową; autobusy między Złotoryją a Wilkowem kursowały 3 razy dziennie. W Wilkowie był punkt pocztowy, dzięki któremu 2 razy w ciągu dnia mieszkańcom doręczano pocztę.

Z chwilą wybuchu wojny w kopalni zatrudniano pracowników przymusowych i jeńców wojennych. Dokumenty podają, że mogło ich być około 2 tys. Prawdopodobnie najwięcej było Polaków (około 400), a ponadto Rosjanie, Belgowie, Francuzi, Włosi. Jeńcy i pracownicy przymusowi mieszkali w barakach. Informacja z roku 1942 mówi, że w kopalni wydobywa się dziennie od 1800 do 2400 ton rudy. W latach 1942 – 43 nastąpił przełom w działaniach wojennych, przede wszystkim na froncie wschodnim. Po klęskach pod Stalingradem i Kurskiem, Niemcy utracili inicjatywę strategiczną, i front bardzo szybko zbliżał się do państwa, z którego wojna wyszła – do Niemiec. Dla Śląska oznaczało to nadejście oddziałów Armii Radzieckiej. Pod wpływem tych wydarzeń produkcja zaczyna zamierać (1944), a następnie przerwano ją zupełnie, a kopalnię zatopiono. W połowie lutego 1945 roku kopalnię opanowały oddziały Armii Czerwonej – tak, jak i cały Wilków.

„NIE MIAŁEM NAWET ŁYŻKI…"

Aby uniknąć spotkania z Rosjanami, mieszkańcy Wilkowa 12. lutego 1945 roku opuścili wieś i osiedle. Zaczyna się jakby sprawdzać przypuszczenie pewnego pastora niemieckiego, który jeszcze w okresie sukcesów armii niemieckiej na wschodzie oraz pod wpływem występków, jakich dopuszczała się głównie Waffen SS, zanotował w swoim pamiętniku: „Co będzie z nami, jeśli wojnę przegramy?". W domyśle chodziło o to, czy Rosjanie będą się za to mścić. Po kilku miesiącach mieszkańcy Wilkowa wrócili do swoich mieszkań. Spotkali się tu ze sporą już grupką pierwszych osadników polskich, a także z Rosjanami. Aczkolwiek komendantura radziecka znajdowała się w Złotoryi (do 1947 roku), także w kopalni nadal przebywali Rosjanie (do października 1945). Współżycie między tymi trzema nacjami nie układało się w Wilkowie dobrze. W każdej innej wiosce obecnej Gminy Złotoryja, znajdziemy choćby szczątkową informację o tym, że ludność świadoma swojego trudnego losu i konieczności przebywania ze sobą, nawiązywała elementarne nici porozumienia. Jeśli wierzyć pamiętnikom opublikowanym w niemieckiej kronice Wilkowa – w Wilkowie do takiego porozumienia nie doszło. Z ogólnej liczby 43 mieszkańców Wilkowa, którzy ponieśli śmierć w czasie II wojny, kilku straciło życie właśnie wskutek braku „porozumienia" (były to głównie kobiety). A może było jednak inaczej? Gdyby pierwsi mieszkańcy Wilkowa zechcieli zabrać głos w tej sprawie? W czerwcu 1946 roku, po decyzjach konferencji w Jałcie i Poczdamie, ludność niemiecka została wysiedlona. Była to decyzja mocarstw, lecz przeciętny Niemiec utrwalił sobie i zapamiętał, że akcję wysiedleńczą przeprowadzali już Polacy. I tego wyobrażenia niektórzy nie potrafią się wyzbyć do dnia dzisiejszego – uważają, że zostali wypędzeni.

Rosjanie wkroczyli do Wilkowa 12. lutego 1945 roku, lecz już wcześniej na rozkaz administracji niemieckiej wieś opuścili prawie wszyscy mieszkańcy wsi. Po pół roku powrócili. W tym samym czasie zaczęli przybywać z różnych kierunków świata pierwsi polscy osadnicy. Jednym z nich był Eugeniusz Taranek. Pamięta, że „bardzo dużo domów i mieszkania były spalone, zdewastowane, powybijane okna. Nie było ani światła, ani wody. Było bardzo biednie – praktycznie nie miałem nawet łyżki, ani pierzyny". Kiedy zbierałem materiał do monografii Gminy Złotoryja, w trakcie wywiadów udzielono mi nieprzeczyjnych informacji – np. dotyczących sołtysów. Dopiero po publikacji przekazano mi kopię dokumentu spisanego w dn. 3 XI 1945r., w języku rosyjskim, który podpisał sołtys Wilkowa – Bolesław Wikliński. Czy w ten sposób poznaliśmy pierwszego sołtysa? A oto treść owego dokumentu już w języku polskim:

„1945 roku 3 listopada

My niżej podpisani przedstawiciel Rady Wojennej ... kapitan Maksarow i przedstawiciel Rady Wojennej n.n.68519 młodszy lejtnant Małamajew i przedstawiciele polskiej władzy komisarz ziemski Sokołowski wójt gminy Nowy Kościół Okoń i sołtys wsi Wolfsdodr Wikliński spisali ten akt o tym, że tego dnia przedstawiciele Armii Czerwonej przekazali plon pszenicy i żyta zebrany i złożony w stajni we wsi Wolfsdorf w ilości: żyta 29 m², pszenicy 56 m². Ilość pszenicy i żyta liczono razem ziarno i słomę niemłócone. Żyto i pszenicę obejrzeli i przejęli przedstawiciele polskiej władzy wskazani w dokumencie dla polskich chłopów – przesiedleńców, najbardziej potrzebujących.

Przedstawiciel Rady Wojennej Maksarow

Przedstawiciel Rady Wojennej Małamajew

Przedstawiciele polskiej władzy

Komisarz ziemski Sokołowski

Wójt Okoń

Sołtys Wikliński

Poświadczył ważność dokumentu wójt gminy Nowy Kościół Okoń".

PIERWSI OSADANICY

Pierwsi osadnicy po II wojnie światowej zamieszkali wieś wilkowską jako robotnicy przymusowi, pracujący w gospodarstwie rolnym u niemieckiego właściciela. Do takich osób należeli: Alojzy Drabek (nr domu 13), Józef Biernacki wraz z małżonką, Wacław Knapik Pani Stefania Żaczkowska z mężem Wacławem (mąż z zawodu szewc, założył własny zakład na Osiedlu ul. Szkolna 1), Helena i Stefan Bocheńscy, Melatyński (dom nr 68), Antoni Burger (z pochodzenia Austriak) przydzielono mu gospodarstwo nr 14. Hanna Lubacz (z domu Merklinger). Bolesław Wikliński był pierwszym sołtysem w Wilkowie.

Pani Zofia Sadoch, która przekazała te relacje Czesławowi Kozakiewiczowi, przyjechała wraz z mężem do Wilkowa w 1946r. z woj. mazowieckiego. E. Taranek podaje ponadto nazwiska: Wiklińskich, Brogowskich, Lisów, Drabków.

„KOCHANA LENO"

W okresie przedwojennym mówiło się o kopalni w Wilkowie bezimiennie; podawano jedynie nazwy spółek, będących właścicielami. Po II wojnie kopalnia przyjęła nazwę Zakłady Górnicze „Lena". Istnieje wiele wersji na temat tego imienia. Najbardziej rozpowszechniona jest ta, która mówi, że w trakcie pełnienia służby wartowniczej żołnierz radziecki pisał list do swojej dziewczyny i w trakcie pisania został zastrzelony. Skończył list praktycznie na nagłówku, w którym miał użyć zwrotu: „Kochana ***Leno…"***. To miało stanowić podstawę do nazwania kopalni tym imieniem. Pierwszą czynnością, jaką trzeba było wykonać w kopalni, było jej odwodnienie. Trwało to do 1947 roku. Był to zakład niezwykle ważny dla gospodarki narodowej, gdyż w tym czasie było to jedyne zagłębie miedziowe w Polsce. Wydobycie wznowiono z dniem 21. czerwca 1950 roku. Z pierwszych ton wytopionej rudy przygotowano tablicę pamiątkową, która przechowywana jest w Muzeum Miedzi w Legnicy. W latach 50. zakład zatrudniał ponad 2000 pracowników (1959 = 2160). Na rozwoju „Leny" korzystało osiedle, a także cała wieś. W roku 1951 uruchomiono ośrodek zdrowia oraz przeprowadzono bocznicę kolejową, łączącą zakład z Jerzmanicami-Zdrojem; wykorzystywana była także do przewozów pasażerskich (1952 – 57). Ze względu na dynamiczny rozwój, w roku 1954 Wilków otrzymał prawa osiedla. W roku 1967 powstała filia Społecznego Ogniska Muzycznego.

Szczytowe osiągnięcia „Leny" nastąpiły w roku 1964 (710 000 ton rudy). We współzawodnictwie pracy „Lena" zdobyła w tym roku pierwsze miejsce w Polsce. Opracowano plany dalszego rozwoju kopalni, m. in. trwały poszukiwania uranu. Kres wszystkim planom położyło odkrycie bogatych złóż w rejonie Rudnej, Lubina i Polkowic. Ostatnim dniem pracy był 31 grudnia 1973 rok. Z dniem 1 stycznia 1974 „Lenę" zlikwidowano i przekształcono w Zakład Urządzeń Górniczych Kombinatu Górniczo - Hutniczego Miedzi. Odbiło się to niekorzystnie na rozwoju miejscowości; nastąpił regres i po reformie administracyjnej roku 1975 Wilków stał się wsią. Pozostały jednak wszystkie urządzenia (np. basen przy szkole), które powstawały w Wilkowie w okresie świetności „Leny". Wilkowianie i mieszkańcy Ziemi Złotoryjskiej nie zapomną występów orkiestry górniczej, która powstała w roku 1949 na wniosek ówczesnego dyrektora Alfreda Chroboka. Dyrygentami tej orkiestry byli: Józef Wasylak, Jan Werbowy, Zdzisław Francuz, Paweł Mrzyk, Mieczysław Wijatkowski. „Lena" wspomagała także prawie wszystkie działania o charakterze społeczno-kulturalnym w Wilkowie, i poza nim. Pełniła rolę zakładu opiekuńczego wobec kilku szkół, wspierała kluby sportowe, np. „Wilkowiankę", „Górnika".

W maju 1976 roku zamknięto urządzenia flotacyjne. 29. lipca 1994 roku zarząd KGHM włączył resztki „Leny" do likwidowanych oddziałów ZG „Konrad" w Iwinach. Wierzę wyciągową pocięto na złom. W swojej historii „Lena" dała Polsce 14. 468. 129 ton rudy miedzi.

PGR

W obiektach oraz terenach przynależnych niegdyś do majątku rozpoczęło po wojnie działalność Państwowe Gospodarstwo Rolne. W połączeniu z „Leną" stwarzało to mieszkańcom Wilkowa i okolic doskonałe warunki zatrudnienia. Po likwidacji „Leny", PGR stał się największym pracodawcą. Oprócz produkcji zasadniczej PGR zabezpieczał również podstawowe warunki mieszkaniowe swoim pracownikom – dysponował własnymi mieszkaniami. Likwidacja PGR, z jednoczesnym ograniczaniem zatrudnienia w okolicznych zakładach, spowodowała poważne trudności w znalezieniu zatrudnienia.

Po PGR obiekty i ziemię przejęło gospodarstwo dzierżawcy.

PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA POCZĘCIA NAJŚWIĘTRZEJ MARII PANNY

Parafia powstała w latach 1959-1960 z podziału parafii złotoryjskiej i początkowo funkcjonowała jako jej filia. Inicjatorem był ks. proboszcz M. Dunas. Podjęto starania o pozwolenie na budowę kościoła, które z wielkim trudem uzyskano. Zgodę otrzymali trzej parafianie od sekretarza KC PZPR W. Gomułki w 1956r. Pozwolenie zawierało klauzulę, iż kościół ma być postawiony w ciągu roku. Ze względu na brak odpowiedniej ilości materiałów budowlanych postanowiono zaadaptować stodołę, i w ten sposób spełniono wymóg, postawiony w pozwoleniu. Jeden z gospodarzy opuszczających Wilków ofiarował stodołę na użytek parafii.

Na prośbę parafian do Rady Państwa przyszła odpowiedź z prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu zezwalająca na podjęcie prac celem przebudowy stodoły na kaplicę. Zaangażowany w budowę był wikariusz ks. M. Mścichowski, sam odwiedzał rodziny w Wilkowie przekonując, że świątynia musi stanąć.

Budynek (stodoła) nie był potrzebny Spółdzielni Produkcyjnej i uzyskano zezwolenie na budowę.

Pierwszą Mszę św. odprawił ks. H. Pilarczyk w uroczystość Wniebowzięcia NMP dnia 18.sierpnia 1959 (a więc w tym roku przypada jubileusz 50 – lecia).

Dnia 16. listopada 1959r. bp B. Kominek, poświęcił jeszcze w surowym stanie świątynię w Wilkowie, nadając jej tytuł Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

Po ks. H. Pilarczyku w Wilkowie posługę duszpasterską pełnili: ks. Stefan Wencel (1960 – 1963), ks. Leon Duda (1963 – 1966) i ks. Franciszek Szyrocki (1966 – 1976).

Dekretem erekcyjnym arcybiskupa Bolesława Kominka z dnia 12. kwietnia 1972r. została erygowana nowa parafia Wilków. Została ona uznana również przez władze państwowe za samodzielną placówkę. Nową parafię włączono do dekanatu Złotoryja. Przy końcu lipca 1976r. ks. Franciszek Szyrocki bez pożegnania się z parafianami, w tajemnicy wyjechał z Wilkowa i udał się do NRF – skąd nie wrócił. Duszpasterzem w Wilkowie został ks. Ryszarda Hajduk.

Ksiądz proboszcz otrzymał zgodę na budowę plebanii i odtąd nie było praktycznie roku, ażeby Kościół w Wilkowie nie został ubogacony jakimś istotnym elementem. Kościół położony jest w centralnej części Wilkowa. Nie można koło niego przejść obojętnie, ponieważ przyciąga ludzi nie tylko swym pięknem i skromnym wyglądem zewnętrznym, ale również skrywanym w środku pięknem duchowym. Wnętrze i otoczenie wilkowskiej świątyni to efekt gospodarskiej starannej zapobiegliwości ks. Proboszcza R. Hajduka (przedstawiono to szczegółowo w wydanej w roku 2006 przez Urząd Gminy monografii Gminy Złotoryja).

Materiał opracowali: Alfred Michler oraz mieszkańcy Wilkowa, Elżbieta Banaszyńska, Małgorzata Czuber, Czesław Kozakiewicz, Bronisława Zenter.

Śladami Johna Daltona

Zaburzenia widzenia barwnego polegają na nieprawidłowym odbiorze przez fotoreceptory siatkówki trzech zasadniczych barw: czerwonej, zielonej i niebieskiej. Całkowita ślepota na barwy występuje rzadko, najczęściej zaburzenia dotyczą nierozpoznawania poszczególnych odcieni barw. Większość postaci zaburzeń widzenia barwnego ma charakter wrodzony uwarunkowany genetycznie. Nabyta ślepota na barwy występuje niekiedy w chorobach siatkówki, nerwu wzrokowego, a także przejściowo w niektórych zatruciach środkami chemicznymi . (Encyklopedia zdrowia)

Nazwa daltonizm pochodzi od nazwiska angielskiego chemika Johna Daltona. Razem ze swoim bratem opisał niewidzenie kolorów oraz błędne rozpoznawanie koloru czerwonego i zielonego w artykule „Niezwykłe prawa wpływające na widzenie kolorów i obserwację" Potocznie nazwą tą określa się również każde z pozostałych zaburzeń rozpoznawania barwnego.

Daltonizm zazwyczaj jest wadą wrodzoną, dziedziczoną recesywnie w sprzężeniu z chromosomem X. Z tego powodu znacznie częściej dotyczy mężczyzn. Daltonizm nabyty może być wynikiem uszkodzenia dróg wzrokowych począwszy od siatkówki po korę mózgu. Jak również efektem ubocznego działania leków.

Inne zaburzenia związane z widzeniem barwnym to:

- **deuteranopia** - wada wzroku polegająca na nierozpoznawaniu barwy zielonej,
- **protanopia** - wada wzroku polegająca na nierozpoznawaniu barwy czerwonej,
- **tritanopia** - wada wzroku polegająca na nierozpoznawaniu barw żółtej i niebieskiej,
- **achromatopsja** (całkowita ślepota barwna) - wada wzroku spowodowana chorobą oczu, a konkretnie siatkówki, objawiająca się dużą lub całkowitą niemożnością rozpoznawania barw. Spowodowana jest posiadaniem niskiej liczby lub zupełnym brakiem czopków, które są odpowiedzialne nie tylko za widzenie barwne, ale jednocześnie za widzenie ostre i widzenie fotopowe (widzenie dzienne). Tak więc ludzie cierpiący na achromatopsję nie tylko nie rozpoznają barw postrzegając świat niemal lub całkowicie w odcieniach szarości, ale również są nadwrażliwi na światło aż do światłowstrętu, oraz cierpią na zaburzenie widzenia ostrego i oczopląs. Achromatopsja może być dziedziczna, lub nabyta w wyniku różnych uszkodzeń lub chorób. Ta pierwsza ma tendencję do pojawiania się wśród zamkniętych społeczności. Przykładem takiej społeczności jest ludność zamieszkująca wyspę Pohnpei, wchodzącą w skład Sfederowanych Stanów Mikronezji. (Encyklopedia zdrowia-Wydawnictwo PWN)

Do badania poczucia barw służą tablice pseudoizochromatyczne, w których liczba, litera lub znak utworzony jest z elementów barwnych. Badaniom takim poddawane są osoby prowadzące pojazdy mechaniczne, maszyniści kolejowi, piloci.

Jana Kałuża: a jaka jest rzeczywistość, czy daltonizm przeszkadza w codziennym funkcjonowaniu?

Krzysztof lat 16

J.K.: jak się dowiedziałeś, że masz problem z odróżnianiem kolorów?

Krzysztof: to nie całkiem tak, proszę zrobić test na kolory.

-Pokazuję tablice pseudoizochromatyczne: kolory, czerwony, zielony, żółty, niebieski - uczeń bez błędnie rozpoznaje wszystkie kolory.

Krzysztof: ja nie rozróżniam odcieni, poprę to przykładem: kiedyś kupiłem bluzkę, która podobała mi się. Miała jeden rękaw szary a drugi biały, przynajmniej tak mi się wydawało okazało się, że tak naprawdę był to kolor różowy.

Kacper ma 17 lat jest uczniem szkoły ponadgimnazjalnej

J.K.: jaką rolę w codziennym życiu odgrywa kolor ?

Kacper: w szkole podstawowej pielęgniarka wykonywała testy na widzenie barwne, okazało się, że mam z tym problem. Istnieją barwy-odcienie, których nie rozróżniam ale to mi nie przeszkadza. Lubię kolor czerwony, gdyż jest jedną z barw mojego ukochanego klubu, z drugiej strony jako ceremoniarz wiem, że jest to kolor męczeństwa i Ducha Świętego, czerwone szaty liturgiczne są ładniejsze od fioletowych. Dobierając ubrania kieruję się kolorem. Jedne kolory wolę bardziej, inne mniej. Z reguły mój wzrok skupia się na blondynkach częściej niż na pannach o innym kolorze włosów.

Dr Marek Pasternak - okulista od 34 lat

J.K.: panie doktorze, czy daltoniści są częstymi pacjentami Poradni Okulistycznej?

M.P.: pacjenci z genetycznym obciążeniem w postaci zaburzeń widzenia trafiają rzadko, ponieważ zaadaptowali się do warunków, jakie im stworzyła natura. Jeśli mieliby problem z doborem kolorowego ubrania, na straży stoi babcia, mama lub ktoś bliski, czyli doradca . Najczęściej trafiają do mnie osoby skierowane przez zakład pracy na badania okresowe. Osoby z barwnym zaburzeniem widzenia wykonują wiele zawodów, przy których kolor nie odgrywa nadrzędnej roli : informatyk piszący programy, nauczyciele z wyjątkiem plastyków, pracownicy biurowi, bankowi itp. Kierowcy nie mają zamkniętej drogi do uzyskania prawa jazdy, nierozróżnianie barwy czerwonej lub zielonej nie jest przeszkodą ,dla nich ważna jest kolejność włączanych świateł w sygnalizacji drogowej. Daltonizm jest przeciwwskazaniem do zawodu pilota, maszynisty kolejowego, elektryka czy elektronika. Tu kolor odgrywa znaczącą rolę. W swojej praktyce lekarskiej nie spotkałem się z całkowitą ślepotą na kolory. W zaburzeniu widzenia barwnego istotą sprawy jest jak zwykle szczegół, pacjenci widzą kolory na dużych przestrzeniach, tyle że w nieco innym nasyceniu barwy, natomiast mają problem z odcieniami. Zatem bycie daltonistą w potocznym znaczeniu tego słowa nie jest dramatem życiowym.

Moimi rozmówcami byli: dr Marek Pasternak, Kacper i Krzysztof - uczniowie szkoły ponadgimnazjalnej

Jana Kałuża

Szkoła macierzyństwa

Naturalnym zjawiskiem obecnym w naturze i biologii jest fakt, iż kobiety rodzą dzieci. Dla nikogo nie jest on zaskakujący. Co więcej, widok matki z dzieckiem wzrusza niejednego, a macierzyństwo i jego obraz niejednokrotnie opisywane były przez poetów czy też uwiecznione przez malarzy. Gorzej jednak, gdy matką zostaje młoda dziewczyna, nastolatka. Wtedy staje się ona ciekawym zjawiskiem społecznym. Jest to dla młodej kobiety bardzo nieprzyjemne i okrutne. Dochodzą do głosu w przypadku Złotoryi małomiasteczkowe wyrażenia i przykre opinie: „ Dzieci mają dzieci" czy też: „ Głupie, bo wpadły". Zdania te świadczą o postawie i kulturze osób je wygłaszających. Są krzywdzące. A przecież nikt z tłumu nie wie, co tak naprawdę czują i myślą dziewczyny – młode matki. Na różnych forach internetowych dla młodych matek nieodłącznym tematem jest odrzucenie ze strony społeczeństwa. Obgadywanie, komentarze, które zadają ból…

Czy rzeczywiście można mówić, że młode dziewczyny zmarnowały sobie życie? Bądź, że są nieodpowiedzialne? Przecież egzaminem z dojrzałości będzie macierzyństwo, to, jak sobie poradzą z nowymi, poważnymi obowiązkami. Z pełnowymiarową opieką nad drugim człowiekiem. Warto byłoby okazać zrozumienie, ponieważ większość krytyków- teoretyków nigdy nie było Młodą Matką toteż nie ma zielonego pojęcie na ten temat.

Karolina ma 18 lat. Jest uczennicą Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II w Złotoryi. W tym roku zdaje egzamin dojrzałości. Choć tak naprawdę zdała go ponad 5 miesięcy temu, kiedy urodziła Filipa. Początkowo, gdy dowiedziała się o tym, że jest w ciąży, była w szoku. Po krótkim jednak czasie oswoiła się z nowiną. Myśl o usunięciu ciąży ani przez moment nie przeszła jej przez głowę. W całej tej nowej sytuacji mogła liczyć na swojego chłopaka. On był przy niej przez cały czas i cieszył się od chwili decydującej wizyty u lekarza. Razem powiedzieli o nadchodzącej zmianie w ich życiu rodzicom Karoliny. Jej mama była w lekkim szoku. Jak każda kobieta potrzebowała po prostu czasu, by się oswoić z nową sytuacją. Powiedziała nawet Karolinie, że spodziewała się, że to ona z trójki rodzeństwa jako pierwsza założy rodzinę pomimo, że jest najmłodsza. Też była szczęśliwa. Karolina nie zrezygnowała z nauki. Normalnie, jak każdy uczeń chodziła i chodzi do szkoły. Uczęszczała na zajęcia, rozmawiała z koleżankami, pisała sprawdziany. Lekko widoczny brzuszek w niczym jej nie przeszkadzał. Gdy stawał się coraz większy, przyszedł czas na to, by powiedzieć o tym koleżankom, plotki i tak już się pojawiały i krążyły po szkole. Nie zawiodła się na przyjaciółkach z klasy, które zareagowały na tę wiadomość radością.

Latem przed rozpoczęciem trzeciej klasy powiedziała o całej sytuacji Pani dyrektor Barbarze Mendosze, która zgodziła się, by Karolina chodziła do szkoły do odpowiedniego dla siebie momentu przed rozwiązaniem. Nauczyciele również nie wyrażali żadnego sprzeciwu. Poród nie był ciężki. W szpitalu Karolina traktowana była jak każda inna pacjentka. Nikt nie wytykał jej młodego wieku. Gdy urodziła Filipa, od razu poznała, co to jest instynkt macierzyński. Pokochała swojego synka od pierwszej chwili. Już po trzech tygodniach wróciła do szkoły, choć ciężko było jej opuszczać Filipa, który stał się radością i sensem życia swojej mamy. Jej dzień wygląda jak dzień każdej innej mamy i uczennicy zarazem. Tyle tylko, że doba Karoliny jest krótsza. Największym minusem w tej sytuacji jest brak czasu na to, by poświęcić się jakiemuś zadaniu na dłużej. Daje sobie jednak radę ze wszystkim i nie jest w tym sama. Nieustannie może liczyć na wsparcie męża i rodziny. Nie musi się martwić, że jej życie nie przypomina szablonowego scenariusza przeciętnych nastolatek. Cieszy ją fakt, iż ma już poukładane życie. W wolnych chwilach bawi się z Filipem, spędza czas z mężem, spotyka się z koleżankami. Jedyne, czego jej brakuje, to by móc wyjść na boisko i pograć w nogę. Nie myśli o tym, że wszystko mogłoby być inaczej, nie myśli o innym szczęściu, bo docenia to, które ma. Po zakończeniu szkoły i zdaniu matury chciałaby zrobić sobie roczną przerwę w nauce, by móc pobyć z Filipem. Później chce podjąć studia, pracę. Z uśmiechem patrzy w przyszłość, nie czuje się inna czy wyautowana z życia z powodu macierzyństwa.

Ja uważam, że powinna być dumna z siebie i tego, co osiągnęła. Podjęła wyzwanie, które realizuje bez najmniejszego zarzutu. Nie schowała się przed światem. Pozwoliła sobie cieszyć się ciążą. Nie traktuje jej jak powód do wstydu, bo jest młodą matką.

Paula Wełyczko

PORTAL LOKALNY ZLOTORYJA INFO

Zlotoryja.INFO – pierwszy portal tematyczny w całości poświęcony naszemu miastu. Przed napisaniem tego tekstu postanowiłem dokładniej zapoznać się z zawartością strony oraz spróbować skontaktować się z jej administratorem.

Strona jest niezwykle czytelna, jak wypowiedział się jeden z użytkowników: „przede wszystkim jest przejrzyście i to jest mega plus". Faktycznie jest. Od razu z głównej strony można przeczytać najnowsze wiadomości, przejść do forum (gdzie rozmowy są „na poziomie", co jest również potwierdzone przez zapytanych przeze mnie użytkowników). Łatwo też znaleźć rozmaite ciekawostki, jak chociażby rozkład autobusów. Przez chwilę szukam jakiejś podstrony o autorze i w końcu znajduję – dział KONTAKT. Wysyłam mail z pytaniem o wywiad i… już po niecałej godzinie otrzymuję odpowiedź. Rozmawia ze mną Bartosz Jeziorski, obecny administrator strony.

Aleksander Bielecki (amb): Skąd pomysł na taką witrynę?

Bartosz Jeziorski: Autorem portalu jest Marcin Denys, który stronę prowadził od maja 2004, do sierpnia 2005 roku, ja jestem właścicielem i kontynuatorem idei zlotoryja.INFO, jako niezależnego źródła informacji, od sierpnia 2005 roku.

W tym miejscu Bartek dodaje, że INFO to projekt głównie „po godzinach" kosztem wolnego czasu, tak

więc nie zawsze twórcy strony są w stanie dodawać własne informacje, skąd wynikają „przedruki".

Amb: Reklamy na stronie – chociaż są – to umiejscowione są w sposób taki, iż raczej nie przeszkadzają większości użytkowników. Tylko z tego utrzymuje się strona?

B. J.: Od niedawna działa firma pod taką samą nazwą jak portal, która zajmuje się sprzedażą powierzchni reklamowej na portalu. Jednak przez większość czasu INFO było utrzymywane z własnej kieszeni. Niestety bez reklam INFO by nie istniało.

Amb: Jesteś informatykiem - amatorem, czy kończyłeś jakieś szkoły?

B. J.: Jestem amatorem, obecnie kończę studia we Wrocławiu o profilu humanistycznym niemających nic wspólnego z informatyką czy dziennikarstwem. Nikt z redakcji INFO nie ma zawodu informatyka/grafika/dziennikarza – wszyscy to pasjonaci.

Amb: Jeden z zapytanych przeze mnie użytkowników strony powiedział, że na stronie brakuje jakichś aktualnych informacji, typu: dyżury aptek itp.

B.J.: Ciężko tak małemu gronu ludzi prowadzić portal, zwłaszcza że robimy wszystko w wolnym czasie. Odnośnie braku informacji o dyżurach aptek obiecuję, że zanim nasza rozmowa zostanie wydrukowana, będzie działał kolejny dział na portalu zlotoryja.info/zdrowie, w którym m.in.: znajdą się informacje o dyżurze aptek. W kwietniu dojdzie jeszcze kilka działów z zakresu turystyki, tak, aby mieszkańcy i turyści lepiej poznali ofertę naszego regionu (m.in.: opis szlaków turystycznych, wykaz zabytków wartych odwiedzenia, punkty noclegowe i gastronomiczne).

Amb: Zdarzały się jakieś próby zaszkodzenia stronie?

B.J.: Hmm… nie było nic takiego, oprócz jednej sprawy sprzed lat, jednak nie warto już o tym mówić. Zlotoryja.INFO nie ma wrogów, przynajmniej ja takich nie spotkałem do tej pory.

Amb: Jakie masz plany na przyszłość? Tę bliższą oraz dalszą?

B. J.: Rozwój i powiększanie zasięgu, kiedy zaczynałem pracę przy INFO czytało je 100-200 osób dziennie, teraz jest to 1000 – 1500 osób każdego dnia, ale chcemy jeszcze poszerzać grono odbiorców. W najciekawszym miesiącu dla miasta - maju - pojawi się więcej reklam INFO w mieście w formie plakatów i małych ulotek. Wtedy bowiem mieszkańcy i turyści szukają informacji o największej imprezie w mieście: Dniach Złotoryi a w czerwcu o Dymarkach Kaczawskich. W tej chwili użytkownicy INFO jako pierwsi odkryli i opublikowali, kto będzie grał podczas Dni Złotoryi oraz w czasie majówki. Myślimy również nad powrotem do nadawania radia zlotoryja.INFO. W jego pierwszej odsłonie (na początku 2007 roku) nadawana była wszelaka muzyka, teraz chcemy, aby grane były tam w większości utwory złotoryjskich artystów . Co z tego wyjedzie, zobaczymy, na chwilę obecną mamy zgodę kilku lokalnych zespołów na emisję ich twórczości i będziemy szukać kolejnych.

Amb: Spotkania użytkowników portalu – o ile wiem, raz na jakiś czas organizujecie takowe. Kiedy będzie najbliższe?

B.J.: Najbliższe odbędzie się jeszcze w kwietniu, kiedy to zostanie wręczona nagroda użytkowników dla Złotoryjskiej Osobowości Roku, wybranej w sms-owym głosowaniu. Jak zrobi się cieplej (czerwiec - wrzesień) postaram się raz w miesiącu organizować takie spotkania w plenerze. To na spotkaniach użytkownicy zgłaszają swoje uwagi i propozycje, te, które możemy zrealizować są wprowadzane do portalu.

Amb: Co było największym sukcesem zlotoryja.INFO w ostatnim czasie?

B.J.: W ostatnich miesiącach został przeprowadzony SMSowy plebiscyt na Złotoryjską Osobowość Roku 2008, w której czytelnicy zlotoryja.INFO sami zgłaszali kandydatów do tego tytuły a później głosowali na nich. Ostatecznie po oddaniu kilkuset głosów tytuł ten otrzymała Ewa Miara. Dużym sukcesem było też przekroczenie poziomu 30 tys. czytelników portalu w ciągu miesiąca - w marcu odwiedziło nas 34 tys. osób a w kwietniu 31 tys.

Amb: Na koniec, tak poza tematem – przed naszą rozmową szukałem czegoś o Tobie w Internecie i… praktycznie nie da się czegoś nie znaleźć! Jesteś obecny chyba na każdym możliwym portalu…

B.J.: Jest to taka pasja i testowanie, mam konta w większości polskich portali, jednak najczęściej po rejestracji i przetestowaniu konta są nieaktywne. Lubię nowinki internetowe - zawsze można coś u lepszych podpatrzeć. Informacji o mnie można szukać na mojej oficjalnej stronie, ale bez autoreklamy :)

Amb: Dziękuję za rozmowę.

CIEKAWOSTKI:

- zlotoryja.blip.pl to mikroblog, w przyszłości będzie wykorzystany do prowadzenia transmisji on-line.
- Portal zlotoryja.INFO działa od wiosny 2004 roku.
- Na forum (dane z dnia 4 kwietnia '09) jest już 26 tys. wpisów, napisanych przez blisko 2 tys. zarejestrowanych użytkowników.
- Galeria zdjęć w portalu obejmuje blisko 3 tys. fotografii dokumentujących wydarzenia w naszym regionie

REDAKCJA PORTALU:

Bartosz Jeziorski - właściciel, Piotr Brejnak, Krzysztof Marzec, Kacper Pawłowski, Aleksander Krupa, Paweł Plichta, Adam Sokołowski.

OPINIE UŻYTKOWNIKÓW:

- Złotoryja.info to interesujący portal, prowadzony przez mojego byłego ucznia. Częstym gościem strony jestem od jakiegoś roku, jednak nie udzielam się na forum. Interesują mnie głównie informacje. Moim zdaniem, ostatnimi czasy poprawiła się jakość strony.

Anonimowa P. profesor ze złotoryjskiego L.O.

- Za dużo reklam, zajmują prawie 1/4 strony głównej. Informacje kopiowane z innych źródeł.

Szymon.

- Chciałem się zarejestrować, jednak nigdy nie otrzymałem maila aktywacyjnego.

Anonimowy P. profesor, również z owego liceum.

- Moim zdaniem, najlepszy z serwisów ze Złotoryi. Przejrzysty. Forum utrzymane na poziomie, widać że moderatorzy trzymają rękę na pulsie. Minusem jest jednak bardzo mała ilość własnych informacji. Denerwują mnie też pseudo-pytające tematy, które są reklamami jakichś pubów czy sklepów. Brakuje mi takiego dobrze skonstruowanego menu z linkami, typu: dyżury aptek, komunikacja (zaktualizowana)… Podsumowując jednak, jest to najlepszy portal o rejo!

Sabtuzdeamon.

- Godziny postowania były jakieś inne, z tego co pamiętam - do tej pory nie wiem, czy to poprawiono. No i z tym logowaniem, też nie do końca coś jest...

Anonim.

Aleksander Bielecki (amb).

Zapraszamy!

W czasie najbliższych Dni Złotoryi (22-31 maja) TMZZ zaprasza na:

u **Złotoryjskie zaułki** – I wystawa fotografii członków Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego, otwarcie 22 maja godz. 17.00, siedziba TMZZ

u **Z „Echem Złotoryi" odkrywamy tajemnice miasta** – wycieczka piesza, zbiórka 23 maja, godz. 10.00 przed Domen Nauczyciela „Bacalarus"

u **Jubileusze Złotoryi – 600-lecie, 700-lecie,…800-lecie** – odczyt Romana Gorzkowskiego, 25 maja godz. 17.00, siedziba TMZZ

u **Teraźniejszość i przyszłość Złotoryi** – dyskusja panelowa, 27

Dawno temu w Złotoryjskim Lesie

Ruiny Kościoła w Złotoryjskim Lesie według ryciny z XVIII w.

Chyba niewielu z nas zastanawia się, dlaczego w pobliżu wsi Czaple, a dokładniej wokół jej przysiółka, zwanego Choińcem, widnieje na mapach *Złotoryjski Las.* Przed 1945 r. określano ten obszar jako *Hainwald* oraz *Złotoryjski Las Miejski* (Goldberger Stadtforst). Niniejszy artykuł wyjaśnia pochodzenie tej nazwy – właśnie w maju 1393 r. doszło do decydujących rozstrzygnięć. Stan dzisiejszy tego terenu opiszemy po rekonesansie, jaki planuje niebawem Złotoryjski Klub Fotograficzny (już zapraszamy na tę wycieczkę!).

Złotoryjski Las był pierwotnie własnością książąt legnickich. W 1339 r. Bolesław III Rozrzutny sprzedał go braciom Siegfridowi i Nikolowi Russendorfom a kilkadziesiąt lat później starania o las rozpoczęła złotoryjska rada miejska, zwłaszcza burmistrz Hentschel Mollner i rajca Konrad Rosswyn. Transakcja doszła do skutku w maju 1393 r., po śmierci braci Russendorf. Nabytek miasta potwierdził książę legnicki Ruprecht, odsuwając zarazem ewentualne pretensje spadkobierców poprzednich właścicieli. Nie znamy niestety sumy, jaką zapłacono za las i okoliczną ziemię uprawną. Wiadomo, że jeszcze w 1398 r. miasto otrzymało pożyczkę – 140 grzywien groszy czeskich „polskiej miary" – od braci Ungerathen (jeden był sędzią w Legnicy, drugi wrocławskim kupcem) na całkowite spłacenie lasu. Wkrótce do władz miasta zgłosiło się kilku wierzycieli, którzy pożyczali Russendorfom różne sumy pieniędzy. W 1397 r. jeden ze spadkobierców, Hans Russendorf, przyrzekł ostatecznie Mollnerowi i Roswynowi, że nikt więcej nie będzie występował w tej sprawie z żądaniami pod adresem miast.

W 1482 r. rozszerzono posiadłości, dokupując tzw. Tunkelwald (należał do rodziny Tunkel, nazwa polska nie istnieje), tzn. teren leśny między stacją kolejową Nowa Wieś Grodziska, Czaplami i Jasionkiem. Granice tego nowego obszaru obeszli osobiście złotoryjscy rajcy na czele z burmistrzem Christophem Ruprechtem. Nakazano leśniczemu miejskiemu odnowić granicę lasu, m.in. poprzez wykopanie rowów. O ogólnych rozmiarach leśnych nabytków Złotoryi w tym miejscu wnioskować możemy z XIX i XX-wiecznych danych: około 1840 r. liczyły ponad 494 hektary (w tym 433 lasu i 52 ziemi ornej), a w 1928 r. 570 hektarów (odpowiednio 400 i 170 ha).

Leśniczówka w I poł. XX w.

Od najdawniejszych czasów przez Złotoryjski Las przechodziła droga ze Złotoryi do Lwówka, uczęszczana zwłaszcza od początku XIII wieku (przypomnijmy – te dwa miasta najwcześniej, bo w 1211 i 1217 r. otrzymały magdeburskie prawa miejskie). Być może pod wpływem postojów, które w tym miejscu urządzali podróżni, powstało tutaj trwałe osadnictwo. Tuż przy szlaku, a ściślej przy skrzyżowaniu, które wiedzie z Choińca do Czapli, stanęła karczma (najpóźniej w 1339 r.), kaplica, wzmiankowana w 1428 i 1448 r., potem pustelnia. Popularność tych miejsc szybko rosła. W 1486 r. występuje już nazwa „kościół" pod wezwaniem św. Marii. Rozbudowywano go, z finansową pomocą księcia legnickiego Fryderyka II, w latach 1501-1502, stawiając nieco później (1512) wieżę. Świątyni zapisywano różne sumy pieniędzy, np. Albrecht von Bock złożył ofiarę na sklepienie prezbiterium a w 1510 r. jeden z mieszczan złotoryjskich, który był zarazem kościelnym w Choińcu, ufundował płytę ołtarza. Złotoryja wyznaczała kapłanów, którzy opiekowali się kościołem Jednym z nich był Bernard Geiseler, który jednak wykorzystał budowę do załatwiania swoich interesów, co skończyło się długami i więzieniem. W okresie reformacji kościół popadł w zapomnienie (po 1522 r.) a później w ruinę (od ok. 1560 r.). W czasach wojny trzydziestoletniej (1618-1648) zatrzymywały się tutaj tylko podobno bandy rozbójników i grupy żołnierzy różnych maści. Pod koniec XVII wieku nie było już dachu, ale stała jeszcze część wieży. Jak wyglądały ruiny kościoła w XVIII wieku, ukazuje ciekawa rycina znanego śląskiego rysownika Fryderyka Bernarda Wernera, którą pokazujemy na ilustracji. W tym czasie magistrat Złotoryi zezwalał na to, aby kamienie z kościoła wykorzystywano przy budowie okolicznych domostw. Ruiny zniknęły ostatecznie w połowie XIX wieku. Jeszcze w ubiegłym stuleciu próbowano odtworzyć wygląd świątyni – jedna z takich prób znalazła się nawet na starej widokówce (patrz ilustracja).

Gospoda oraz próba rekonstrukcji kościoła z XV w.

O istnieniu kościoła świadczy dzisiaj kamienna tablica, znajdująca się pierwotnie być może w pobliżu jego głównego wejścia (dzisiaj na posesji nr 68). Inskrypcja głosi: *W roku Pańskim 1491(1497?) Bernard Geissler, ojciec kościoła, prosi Boga za kościół św. Marii („Anno dni 1491 (7?) berndt Geiseler kirgen-vater IHS Maria – Helft czu dem Gottshause Maria").* Według relacji, jakie dwadzieścia lat temu zebrał autor w Choińcu, na łące, na której niegdyś stał kościół, podczas suszy pojawiały się zarysy kamiennych płyt, kryjących stare groby.

Losy tutejszej karczmy wyglądają zdecydowanie lepiej niż kościoła. Cieszyła się popularnością właściwie aż do końca ostatniej wojny (patrz ilustracja), po której nie wznowiła działalności.

Zasoby leśne w rozmaity sposób służyły Złotoryi. W XV wieku przeznaczano je np. na odbudowę miasta po najazdach husytów, choć w 1473 r. odnotowano duże zniszczenia w drzewostanie. W XIX w. odbywano tutaj polowania, niekiedy z udziałem wysokich urzędników państwowych (istniała leśniczówka – patrz ilustracja)). Las nie przynosił jednak spodziewanych dochodów, zwłaszcza od XIX wieku, gdy pojawiły się nawet plany dotyczące jego sprzedaży.

Złotoryjski Las okrywała niegdyś także zła sława. Leśne ostępy były schronieniem dla rozbójników, którzy tutaj mogli liczyć na ciągłe okazje, gdy szlak uczęszczany był przez kupców, pielgrzymów i zwykłych przejezdnych. W 1448 r. skazano w Lwówku złoczyńców, którzy dokonali napadu na pustelnię. W 1506 r., w pobliżu karczmy doszło do jeszcze głośniejszego wydarzenia. Gdy wracała z wrocławskiego jarmarku z utargiem karawana kupiecka, znienacka wypadło na nią 18 zbrojnych bandytów. Przestępcy nie tylko skradli podróżnym 1400 guldenów, lecz zamordowali podróżującego z karawaną burmistrza Lwówka oraz jeszcze jednego z tamtejszych mieszczan. W 1531 r. postradał życie podróżujący tędy garbarz. Sprawców złapano. Byli nimi mieszkańcy Bielanki, Płakowic i Zgorzelca. Wyrok został wydany na miejscu zbrodni: jeden z morderców zmarł jeszcze w więzieniu (przez tortury?), drugiego nabito na pal, a dwóch kolejnych łamano kołem. W 1810 r. w Złotoryi ścięto toporem mężczyznę, który zabił mydlarza, przejeżdżającego przez Choiniec. Śladami dawnych morderstw są zachowane krzyże pokutne, ale o nich już w następnym artykule.

Roman Gorzkowski

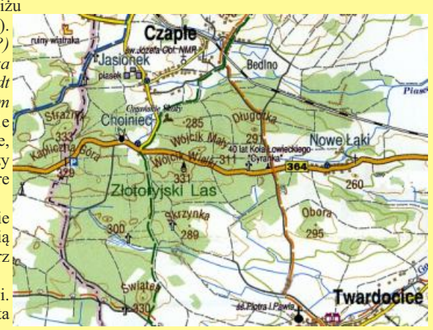

Czytelnicy piszą

Przede wszystkim gratulujemy zainteresowania przeszłością miasta i jego dniem dzisiejszym Przemysławowi Markiewiczowi, który niestrudzenie rozwiązuje „zagadki" dotyczące archiwalnych fotografii i widokówek. Właściwie nie powinno nikogo to dziwić, wszak jest on prezesem Stowarzyszenia Przyjaciół Złotoryi „Aureus Mons". Jego członkom wiedza o naszej miejscowości nie może być obca. Nie były tajemnicą dla Przemysława Markiewicza ani losy budynku LO, skradzionej kolumny z cmentarza, chóru nauczycielskiego pod dyrekcją Z. Francuza, ani szczegóły w wyglądzie kościoła Mariackiego w 1914 r. TMZZ będzie musiało szybko pomyśleć o nowych wydawnictwach, bo dotychczasowe chyba w komplecie trafiły już do rąk P. Markiewicza. Nieprzypadkowo „Aureus Mons" organizuje corocznie konkurs o Ziemi Złotoryjskiej. Starsze pokolenie jej miłośników cieszy się, że rosną jego następcy.

Zbiory TMZZ uszczupliła również Krystyna Widulińska, według której z inicjatywą nazwania Aleją Miłą ówczesnej Al. Lenina wystąpiła Agnieszka Młyńczak (*Echo* z kwietnia b.r.). Archiwum TMZZ dysponowało do tej pory tylko kopią pisma, jakie we wrześniu 1989 r. do Prezydium Rady Narodowej Miasta i Gminy Złotoryja skierował Komitet Obywatelski „Solidarność", proponując dla „Lenina" nazwę Alei Harcerskiej (lub Al. Sikorskiego). Teraz, dzięki Agnieszce Młyńczak, otrzymaliśmy dokument z lutego 1990 r., czyli petycję mieszkańców, złożoną na ręce RNM i G, zdaniem których ich ulica jak najbardziej zasługuje na nazwy: Pogodna, Miła, Śliczna, Spokojna lub Ptasia. Wiadomo, jak głosowali radni. Czy ktoś z Czytelników dysponuje jeszcze innymi wiadomościami na ten temat?

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Gdy o rewitalizacji jeszcze się nie śniło

W ostatnich latach ulica. S. Staszica oraz zachowane przy niej mury obronne poddane zostały rozmaitym zabiegom renowacyjnym. Cieszy odrestaurowanie fragmentu muru zewnętrznego nad fosą, urządzenie alejek, nowe oświetlenie. Jak w okresie międzywojennym wyglądały mury obronne przy kościele św. Jadwigi i najbliższe ich otoczenie, pokazujemy na widokówce. Może było wtedy tutaj nieco bardziej tajemniczo, a z pewnością o wiele mniejszy był ruch pojazdów ówczesną Promenadą. Po fosie w tym miejscu, jak widać, nie było już śladu. Obwarowaniom z pewnością nie służyła roślinność (oby znów nie zaczęła odrastać!).

Roman Gorzkowski

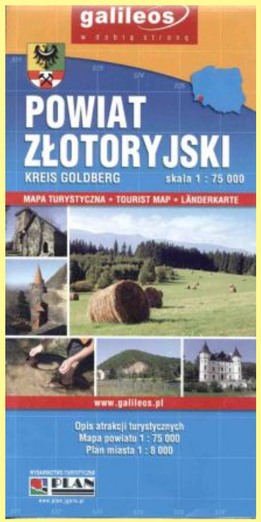

Warto przeczytać

Pierwsza mapa powiatu!

Od kilku tygodni można już zabierać na wędrówki mapę powiatu złotoryjskiego, opracowaną przez Wydawnictwo Turystyczne PLAN z Jeleniej Góry. Według naszej wiedzy to pierwsza osobna powojenna turystyczna mapa tego terenu, stąd zapewne doczeka się głębszych analiz. Na pierwszy rzut oka chciałoby się wyraźniej zaznaczonych granic powiatu. W części opisowej krótkie informacje o powiecie, jego stolicy oraz wybranych atrakcjach krajoznawczych Ziemi Złotoryjskiej. Jest to zarazem wydawnictwo „podwójne" – na odwrocie częściowo uaktualniony plan Złotoryi (np. już z Drogą św. Jakuba ale z Gimnazjum nr 2 wciąż na ul. Kolejowej).

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Nowoczesny kulig

W "Kąciku jednej fotografii" umieszczamy zdjęcia upamiętniające różne miejsca i wydarzenia z życia lokalnej społeczności. Niegdyś zimy bywały śnieżne i pozwalały tu na miejscu organizować różne formy aktywnego wypoczynku i rozrywki. Jedną z takich form było organizowanie kuligów. Na zdjęciu pokazana jest już forma dość postępowa bo tradycyjnego konia zastąpiły konie mechaniczne. Ale i ta zabawa przysparzała dużo zadowolenia nie tylko dzieciom, bo widzimy tu przede wszystkim młodzież. Czy potrafimy rozpoznać miejsce, czas, a przede wszystkim osoby, uwiecznione na tej fotografii ? A może ktoś zna więcej szczegółów tego wydarzenia?

Józef Banaszek

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie

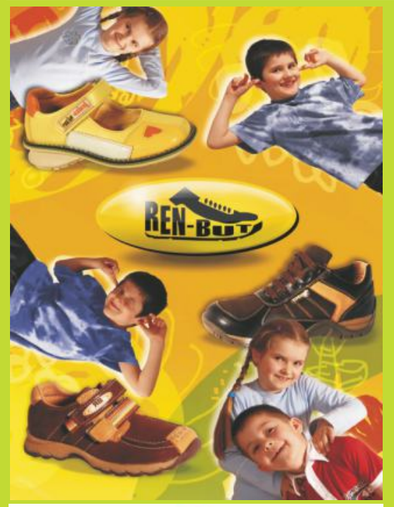

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

VITBIS

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. ZŁOTORYJA
KSS S.A.

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe

STONESPOL
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023